

Szatańskie włosy

Masterton Graham



calibre 0.9.43

GRAHAM MASTERTON

Z angielskiego przełożył

KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

Tytuł oryginału: HAIR RAISER

ROZDZIAŁ 1

— Szczur! — krzyknęła Kelly. — Na własne oczy widziałam! Tu są szczury!

— Gdzie? Gdzie? Nienawidzę szczurów! — Susan natychmiast uciekła do połowy schodów.

Kelly próbowała przebić wzrokiem mrok piwnicy. W jej najciemniejszy kąt, pod przeciwległą ścianę, wrzucano plastikowe torby, cierpliwie czekające na śmieciarza. Torby wypełnione resztkami srebrzystej folii, używanej do zdobienia włosów klientek, pustymi pojemnikami po szamponach i odżywkach, papierowymi ręcznikami i wacikami. I oczywiście włosami, które Kelly pracowicie zamiatała z podłogi salonu fryzjerskiego Sizzuz: jasnymi, ciemnymi, kasztanowatymi, siwymi lub zupełnie pozbawionymi jakiegokolwiek koloru.

— Idę po Simona — oświadczyła Susan i otworzyła drzwi prowadzące do jasno oświetlonego salonu fryzjerskiego.

— Tylko nie to! Mamy klientów. Dostanie szafu. Kelly chwyciła opartą o ścianę piwnicy szczotkę i szturchnęła nią najbliższą torbę na śmieci. Wytężyła słuch, ale usłyszała tylko szelest plastikowej folii. Spróbowała z sąsiednią, bardziej wypchaną i bardziej miękką, wypełnioną włosami. Nic.

— Wydawało ci się — prychnęła Susan. — Przecież tu nie ma szczurów. Znasz Simona, to prawdziwy fanatyk czystości. On by do tego nie dopuścił! Nie ma mowy!

Kelly zrobiła dwa kroki do przodu — powoli i ostrożnie. Piwnicę dzielił na dwie części kamienny łuk; w panującej tam ciemności mogło się kryć wszystko, dosłownie wszystko.

Wsunęła szczotkę najgłębiej, jak mogła, niemal pewna, że lada chwila coś ją wyrwie, i

natychmiast cofnęła się. Serce tłukło jej się w piersi tak mocno, jakby w każdej chwili miało się z niej wyrwać. Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że jeśli nawet był tu szczur, to prawdopodobnie bał się znacznie bardziej niż ona, lecz nie dodawało jej to odwagi. Kieran, brat Kelly, tłumaczył jej, że jest milion razy większa od największego pająka, lecz ona mimo to na widok krzyżaka w wannie zawsze wrzeszczała wniebogłosy.

— Chodź wreszcie — ponagliła ją Susan. — Lada chwila może pojawić się kolejna klientka. Dobrze wiesz, jak bardzo Simonowi zależy na tym, by wszystko było wyczyszczone i wysprzątane.

Kelly cofnęła się ku schodom, trzymając szczotkę w pogotowiu, tak na wszelki wypadek. Stała na trzecim stopniu od dołu, gdy znów usłyszała ten szelest? W niczym nie przypominał tupotu szczurzych łapek, był cichy i miękki.

— Słyszałaś? — szepnęła.

— A niby co miałam słyszeć? — zapytają Susan.

— Przysięgam, że tu coś jest. Może jedno z kociąt pani Marshall, tej z góry, wlaźło do którejś z toreb i nie potrafi wyjść? — Kelly zeszła na dół i nadstawiła uszu.

— Pospiesz się! — syknęła Susan. — Simon woła cię na górę.

— Wyobraź sobie tylko, co czeka kociątko, które wlaźło do plastikowej torby i teraz powoli się dusi! Nie możemy go tak zostawić, prawda? — powiedziała Kelly.

Szturchnęła szczotką grubą, miękką torbę śmieci. Była pewna, że wyczuwa w niej jakiś ruch. Wahala się przez chwilę, a potem dotknęła jej ręką. Zawsze była odważna. Przez cienki plastik namacała kosmyki i kłębki włosów. Przycisnęła mocniej. Nic. Poklepała torbę i tym razem była całkiem pewna, że poczuła ruch.

— Czuję coś, Susan! Coś tu jest! Sprawdź, jeśli chcesz! Rozerwała plastik paznokciem.

Boże, spraw, żeby nie

był to wielki, włochaty szczur — modliła się w myśli. Nie zniosę widoku tłustego, brązowego szczura kanalizacyjnego z długim gołym ogonem, czerwonymi ślepiami i żółtymi zębami.

Poszerzyła dziurę. Wypadło z niej wprost na jej buty kilka kłębków włosów, a kilka kolejnych dostało się do rękawa. Znowu szturchnęła torbę kijem od szczotki. Wbił się w nią płytko, bo włosy były szorstkie, sztywne i mocno zbite.

I nagle znowu poczuła ruch, ciężki i zdecydowany, jakby jakiś grubas przewrócił się we śnie na drugi bok.

— Susan! — krzyknęła, odskakując. Drżała na całym ciele, niemal odchodziła od zmysłów z przerażenia.

Drzwi prowadzące do piwnicy otworzyły się i stanął w nich Simon Crane.

— Hej, Kelly! Rusz się z łaski swojej! Przyszła pani Baxter, a mój fotel wygląda jak po bombardowaniu.

Zszedł na dół i rozejrzał się dookoła.

— Co tu się dzieje? — warknął i czubkiem buta kopnął wysypane z torby włosy. —

Zapomniałyście, że do waszych obowiązków należy utrzymywanie porządku w piwnicy, a nie jej zaśmiecanie?

— Bardzo przepraszam, panie Crane — wyjąkała Kelly. — Zaraz tu pozamiatam, w tej chwili!

— Piwnica może poczekać. I bardzo panią proszę, panno O'Sullivan, by zwracała się pani do mnie po imieniu.

— Oczywiście, panie Crane... Simonie.

Simon Crane był wysoki i smukły, a jego jasne włosy układały się w naturalne loki. Miał wąską twarz, niebieskie oczy i odrobinę za długi nos. Zawsze nosił czarne obcisłe spodnie,

czarną koszulę z postawionym kołnierzem, a na jego szyi wisiał ciężki srebrny łańcuch. Kelly niemal nie mogła uwierzyć we własne szczęście, gdy zgodził się przyjąć ją na praktykę; był nie tylko oszałamiająco przystojny, lecz także pracował u Richarda Walkera na londyńskim West Endzie i uchodził za błyskotliwego stylistę. Często zastanawiała się, dlaczego zrezygnował z wielkiej kariery i otworzył salon na przedmieściu, ale w końcu uznała, że z pewnością miał swoje powody, a ona jest po prostu szczęściarą.

*

— Chciałam prosić... może mogłabym zwolnić się dziś pół godziny wcześniej? — spytała, gdy obie z Susan stały jeszcze na schodach piwnicy. — Mój brat ma urodziny, a ja nie zdążyłam jeszcze kupić mu prezentu.

— No dobrze... ale pod warunkiem, że porządnie posprzątaacie. Najpierw salon, potem stanowiska do mycia głowy, no i toaleta... i nie zapomnijcie o wymianie papieru!

Kelly Wahła się przez chwilę, a potem powiedziała:

— Skoro jesteśmy w piwnicy... moim zdaniem mogą tu być szczury.

— Szczury? O czym ty mówisz?

— Wynosiłam śmieci i usłyszałam taki dziwny szmer...

— Nie wiem, co usłyszałaś, ale tu nigdy nie było szczurów

— Wiem że nie, tylko że

coś...

— Nie przejmuj się tym. — Simon wzruszył ramionami. — może jakiś ptak wpadł do komina. To się zdarza, choć niebyt często. No, dziewczyny uśmiechamy się i do roboty.

Czeka nas trudny dzień

Kelly Odwróciła się i położyły dłoń na klamce drzwi do piwnicy. Kiedy już miała je

zamknąć, nagle wydało jej się, że po ścianie przemknął jakiś cień — i znikł w mroku pod łukiem. Zerknęła na Simona, ale on już zajmował się panią Baxter; żartował z nią i śmiał się wesoło. Mogła mu przerwać, nie Namierzała jednak zrobić z siebie idiotki, więc nic nie powiedziała, tylko mocno zatrzaskała drzwi i upewniła się, czy zamek zaskoczył.

Podeszła do fotela Simona, porządnie ułożyła wszystkie jego narzędzia oraz buteleczki i tubki kosmetyków, których używał w pracy. Wiedziała, że jeszcze dziś będzie musiała zejść do piwnicy i wymieść ją do czysta, lecz mimo iż oznaczało to koniec dnia pracy, wcale za tą chwilą nie tęskniła.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy ostatnia klientka opuściła salon, Simon zamknął drzwi i wygasił świecący nad nimi fioletowy neon: „Siz-zuz. Salon fryzjerski dla każdego” — ze znakiem firmowym zamykających się i otwierających nożyc. Susan i Kevin odłożyli grzebienie i szczotki, a Kelly po raz ostatni przeciągnęła miotłą po podłodze.

— Nie zapomnij o piwnicy! — zawołał do niej Simon. Jakby była w stanie o niej zapomnieć.

> Prawdę mówiąc, w dzieciństwie marzyła raczej o karierze weterynarza niż fryzjerki.

Uwielbiała zwierzęta, zwłaszcza psy i konie; podczas każdej wizyty na farmie wuja w hrabstwie Kerry niemal cały czas spędzała w stajniach. O'Sullivanowie byli jednak liczną rodziną, mieli pięciu synów i dwie córki — i nie starczyło im środków na kształcenie jednej z nich w szkole weterynaryjnej.

— Musimy wybierać między mądrością w głowie a butami na nogach — powiedział kiedyś ojciec. — Obawiam się, że w tej konkurencji wygrywają niestety buty. Nie da się na to nic poradzić.

Ojciec był niewątpliwie bardzo praktycznym człowiekiem. Kelly nie miała wyboru.

Dostosowała się do tej jego praktyczności, pracowała i zarabiała, próbując oszczędzić na naukę i na wynajęcie mieszkania. Simon był dla niej darem niebios: nie tylko ją zatrudnił, ale także interesował się jej sprawami, a w nielicznych wolnych chwilach robił wszystko, by wtajemniczyć ją w zawodowe sekrety pracy stylistów. Umiała już przystrzyc i ułożyć własne włosy. Niedługo zostanie fryzjerką i wtedy będzie zarabiać trzykrotnie więcej niż teraz, nawet bez napiwków.

— Dobra, kończymy. — Simon wyjął pieniądze z kasy i przeliczył dzienny zarobek. — A może macie ochotę spędzić tu całą noc? — Spojrzał na swój zegarek, złotego roleksa. — Słuchajcie, strasznie się spieszę. Już spóźniłem się dziesięć minut na sesję zdjęciową. Katalog „Weselne dzwony” to nie byle co, a ja robię do niego wszystkie fryzury. Kiedy będziecie wychodzić, nie zapomnijcie o włączeniu alarmu.

— Oczywiście, Simonie — odparła Susan, a kiedy wyszedł, dodała: — Trzy torby włosów, Simonie...

— Nie lubisz go? — zdziwiła się Kelly.

— Jest w porządku, tyle że chce wszystkim rządzić. No i uważa się za Pana Boga stylistów.

— Dla mnie zawsze był bardzo miły.

Trzasnęły zamykane przez szefa tylne drzwi salonu

i zaraz potem rozległ się niski warkot silnika BMW.

— Och, nie wiedziałam, że zrobiło się aż tak późno — westchnęła Susan. — Kelly, słuchaj, ja też muszę uciekać. Chętnie bym ci pomogła, ale obiecałam zająć się dzieckiem Desmondem i Marie. Wiesz, jak włącza się alarm, prawda?

o swoją fryzurę. Włosy dekorowała wstążkami, koralikami i wtykała w nie mnóstwo grzebieni. Potrafiła zadowolić klientki o każdym kolorze skóry. Marzyła o tym, by otworzyć swój własny salon, który szczyciłby się wszechstronnością usług. Wymyśliła nawet jego nazwę: „Szachownica”. Bezustannie żartowała, uwielbiała się wygłupiać i zawsze potrafiła rozśmieszyć Kelly.

— Bardzo mi przykro, ale ja też muszę już lecieć — powiedział przepraszająco Kevin. — Umówiłem się z Michaelem. Idziemy do kina. Wybrał jakiś japoński film. Podobno to czysta sztuka, o samurajach, i w dodatku z napisami. Chyba wolałbym znów obejrzeć Titanica. Tam przynajmniej wszystko jest proste, jasne i człowiek wie, że znowu się popłacze.

Był nieco otyłym chłopakiem o bladej cerze, a urodę swoich gęstych, wijących się jasnych włosów podkreślał własnoręcznie. Mieszkał nad hinduską restauracją, w wolnym czasie lubił spacerować i był najsympatyczniejszą i najmniej egoistyczną osobą, jaką Kelly spotkała w całym swoim krótkim życiu. Kilkakrotnie wybrali się razem na lunch. Jadał wyłącznie pełnoziarnisty chleb i sałatę, lecz po lunchu kupował w najbliższym kiosku osiem snickersów, dwa dla niej i sześć dla siebie.

— Z dietą trzeba uważać — mawiał. — Można ją wziąć wyłącznie z zaskoczenia.

Oboje pomachali Kelly na do widzenia i wyszli, rozmawiając i śmiejąc się. Pozostawili ją sam na sam z brzęczącą i mrugającą żałośnie jarzeniówką. Najpierw posprzątała salon.

Ustawiła równo cztery krzesła, zatrzymała się przy każdym.

czy w Brzeźcach

z nich półki szampony, odżywki, żele i w ogóle wszystko, co mogli sprzedać. Sprzedaż kosmetyków przynosiła salonowi spore dochody i Simon zastanawiał się nawet nad wylansowaniem własnej marki.

— No bo przecież co jest w nich takiego specjalnego? — powtarzał często. — Woda z

dodatkiem siarczanu wawrzynu, a sprzedaje się po czternaście funtów za buteleczkę.

Głównym elementem dekoracyjnym salonu było wielkie czarno-białe zdjęcie aktorki

Elisabeth Green, uczesanej przez Simona Crane'a według jego własnego projektu. Nazwał tę fryzurę „Elfem kwiatów”, bo pasma włosów wyglądały w niej jak płatki. Ale teraz jakoś nie odwiedzał ich nikt taki jak Elisabeth Green, nie tu, w Sizzuz, w rzędzie sklepów, sklepików i punktów usługowych na Rayner's Lane, ulicy znajdującej się na szarym, przygnębiającym północno-zachodnim przedmieściu Londynu.

Gdy Kelly spytała kiedyś Kevina, dlaczego wielki Simon Crane zerwał współpracę z Richardem Walkerem i otworzył własny zakład w tak nieatrakcyjnym miejscu, chłopak tylko potrząsnął głową i powiedział:

— Nic na ten temat nie wiem. Ale jego lepiej o to nie pytaj. Wystarczy wspomnieć przy nim o Richardzie Wal-kerze, a dostaje ataku szału.

Kelly wiedziała, że musi zejść do piwnicy, lecz odkładała to tak długo, jak tylko się dało. Ale minęła szósta po południu, na dworze zrobiło się ciemno, a ona musiała przecież jeszcze kupić kompakt U2 dla małego Patricka.

Przyjrzała się sobie w jednym z luster salonu. Była szczupłą, niewysoką dziewczyną, metr pięćdziesiąt w skarpetkach, dla znajomych metr pięćdziesiąt pięć, a kiedy włożyła pantofle na naprawdę wysokich obcasach, mogła przyznać się nawet do metra sześćdziesięciu. Jak wszystkie dziewczyny w rodzinie O'Sullivanów, miała gęste rudoblond włosy, miękkie i lśniące; kiedy je szczotkowała, zawsze przypominały jej się słowa ojca: „Wyglądają tak, jakby padły na nie promienie zachodzącego słońca”.

Nie uważała się za ładną. Kiedy miała trzynaście lat, była przekonana, że żaden chłopak nigdy nie zechce z nią chodzić. Uważała siebie niemal za wybryk natury, bo przecież miała perkaty nos, piegi też nie dodawały jej urody, drugie nogi przerażająco upodabniały ją do

żrebaków z farmy wuja, a jeśli chodzi o figurę... cóż, musiała wypychać stanik kleeneksami, podczas gdy jej koleżanki paradowały dumnie po korytarzu szkoły, wypinając biust, niczym kandydatki na statystki do kolejnego odcinka Słonecznego patrolu.

A potem, całkiem niedawno, skończyła siedemnaście lat i towarzyszyły temu niemal magiczne przemiany, choć właściwie nie zauważyła, kiedy się dokonały. Patrząc w lustro, widziała teraz młodą kobietę o pięknych zielonych oczach, prostym, klasycznym nosie i ustach wygiętych w zgrabny łuk. A kleeneksów potrzebowała tylko do starcia makijażu i — od czasu do czasu — do wytarcia nosa.

Dodało jej to pewności siebie, mimo iż nadal nie znalazła sobie chłopaka. Rówieśnicy wydawali jej się niezbyt mądrzy i bardzo niedojrzali.

Spojrzała na czarne drzwi prowadzące do piwnicy.

No, do roboty. To nie potrwa długo — próbowała sama sobie dodać odwagi. Byle szczur nie jest przecież w stanie wyrządzić ci krzywdy. A w ogóle nie ma tam żadnego szczura.

14

Wielokrotnie widziała, jak psy, teriery jej wuja, wypędzwały szczury ze stajni, i w tych szczurach nie było niczego szczególnie przerażającego. Owszem, wyglądały strasznie, ale tylko trochę, troszeczkę. Niech będzie, że więcej niż troszeczkę, przyznała sama przed sobą, przypominając sobie chłopców stajennych, zabijających je drągami.

Czy właśnie taki szczur czeka na nią tam, na dole?

Otworzyła drzwi i włączyła światło. Piwnicę oświetlała zaledwie jedna naga żarówka, rzucająca na ściany i podłogę piwnicy tajemnicze, mroczne i groźne cienie. Groźne cienie to tylko groźne cienie, ale czasem mogą okazać się groźnymi potworami, władcami nocy, gotowymi wypróbować moc swoich kłów na jej nagich ramionach i nogach. Jeden z tych groźnych potworów wyglądał jak coś skrzydlatego, rogatego i przerażającego, a przecież był

to jedynie cień staroświeckiej suszarki do włosów z nałożonym na nią plastikowym pokrowcem.

Kelly odmówiła krótką modlitwę, której nauczyła się od swoich szkolnych przyjaciół:

„Dagdo, chroń mnie od złego”. Dagda był panem wszelkiej wiedzy, kimś, kto zna odpowiedź na najtrudniejsze zagadki świata, przywódcą elfów z irlandzkiego folkloru.

— Panie Boże, chroń mnie od wszelkiego złego — dodała, stawiając stopę na pierwszym prowadzącym do piwnicy schodku.

Gdzieś z dala dobiegł ją dźwięk kapiącej wody. Zamarła, spodziewając się najgorszego, ale nie usłyszała żadnych groźnych szmerów czy szelestów. Owszem, od czasu do czasu hałasował przejeżdżający w pobliżu autobus,

15

przechodzący ulicą chłopcy żartowali i śmieli się, kopiąc puste puszki po coli, ale w końcu zawsze zapadała cisza, w której słyhać było wyłącznie wszechwładne: „kap, kap, kap...”.

Podeszła do rozerwanej torby, z której sterczały kłębki różnokolorowych włosów. Kiedyś wszystkie do kogoś należały, były czyjąś częścią, dzięki nim ktoś wyglądał tak, a nie inaczej, był tą, a nie inną osobą. Ktoś je mył, ktoś rozczesywał, gładziły je palce kochanki lub kochanka, a teraz stały się martwą materią, niczym nie różniącą się od złuszczonej skóry, obciętych paznokci i w ogóle wszystkiego, co ciało odrzuca w niestrudzonym marszu przez życie. Kelly przypomniała sobie nagle reportaż, który przeczytała w jakiejś gazecie, o śmieciarzach z londyńskiego metra, czyszczących po nocach szyny. Wymiatali stamtąd tony ludzkich włosów, sztywnych i martwych.

Z półki u stóp schodów wzięła nową plastikową torbę na śmieci, położyła ją obok tej, którą sama rozerwała,

i zabrała się do zmiatania. Przede wszystkim musi oczyścić podłogę z kosmyków, które

jakimś cudem nie zostały wcześniej podmiecione. Kiedy to zrotfi, wepchnie uszkodzoną torbę do nowej i zawiąże ją ciasno, o tak, nawet bardzo ciasno, machnie szczotką jeszcze parę razy i będzie wolna. Wpadnie na stację Esso po płytę dla Patricka, a potem czeka ją już tylko zabawa, zabawa i jeszcze raz zabawa.

Zamiotła piwnicę bardzo dokładnie, podnosiła nawet niektóre torby, by sprawdzić, czy nic się pod nimi nie ukryło. I nagle kichnęła pięć razy z rzędu.

Och, mój Boże... — wzdrygnęła się. Przecież oddycham siwymi włosami pani Baxter, czarnymi, jedwabistymi lokami pani Patel i żelazną trwałą, którą pani Philips każe sobie robić od czasu, gdy jej mąż zaczął za bardzo interesować się panią kapitan z klubu golfowego w Pinner Green.

Ojciec tłumaczył jej kiedyś, że choć ludzie uważają się za zdefiniowanych raz na zawsze, obrysowanych ostrym, nieprzeniknionym konturem, w rzeczywistości bywa tak bardzo rzadko, bo przeważnie zostawiają po sobie kawałki tego i odpryski owego, a inni muszą nimi oddychać. Ilekroć oddychasz, wciągasz w płuca powietrze, w którym są cząsteczki Juliusza Cezara, Henryka VIII i Jezusa Chrystusa. Po tej rozmowie przez kilka tygodni wychodziła na zewnątrz z chusteczką zawiązaną na ustach, jak bandyta ze starego westernu.

Podniosła rozerwaną torbę włosów, niezbyt ciężką wprawdzie, lecz pękatą. Spróbowała włożyć ją do nowej, nie rozsypując zbyt wiele z jej zawartości. Okazało się jednak, że nie jest to takie łatwe, jak się spodziewała. Przerwała na chwilę, kiedy uświadomiła sobie, że torba szeleści tak głośno, że zagłusza wszystkie inne rozlegające się w piwnicy dźwięki.

Nasłuchiwała przez chwilę, ale nie usłyszała nic oprócz monotonnego odgłosu kapiącej wody. Już prawie udało jej się wsadzić torbę w torbę, gdy nagle usłyszała czyjś głos.

Będą... — a potem jeszcze kilka słów, wypowiedzianych tak cicho, że nie była w stanie ich zrozumieć.

— Hej! — zawołała.

Odpowiedziała jej cisza, trwająca kilka bardzo długich chwil — po czym znów rozległy się dziwne szepty. Brzmiały tak, jakby ktoś mówił po francusku, ale francuszczyzną, której Kelly nigdy przedtem nie słyszała.

17

— Hej! — powtórzyła łamiącym się ze strachu głosem. Nie mogła się zorientować, skąd dobiega ten tajemniczy szept, dopóki nie usłyszała go znowu. Najwyraźniej coś kryło się w rozerwanej torbie z włosami, którą próbowała wepchnąć w drugą torbę.

Dochodzący z torby głos był ochryply i brzmiał obrzydliwie. Przypominał Kelly głos mężczyzny w średnim wieku, który zaczepił ją przed dyskoteką Electric, gdzie jakiś czas temu wybrała się ze swoją przyjaciółką Jacąie. Był pijany, zataczał się, nie mógł na niczym skupić wzroku.

„Kochanie, nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co mógłbym zrobić tobie i co ty mogłabyś zrobić mnie” — bełkotał. A teraz identyczny głos, dobiegający z plastikowej torby na śmieci, powtarzał: Tais-toi, folie, tais-toi.

Nagle torba zaczęła się poruszać — nie tylko poruszać, lecz także rozdymać i skręcać. Po chwili pękła i z ohydny szelestem wypłynął z niej strumyk włosów. Kelly zakryła oczy dłońmi, ale czuła, jak włosy wydobywające się z torby pokrywają ją całą, obrzydliwe i kłujące, choć pozornie takie delikatne. Gdy wciągnęła powietrze, za-krtusiła się i kichnęła raz, drugi, trzeci.

Wyprostowała się z trudem. Nic nie widząc — bo nadal zakrywała oczy dłońmi — zrobiła kilka chwiejnych kroków w prawo. Omal się nie przewróciła, ale w końcu jakimś cudem dotarła do ściany, a potem znalazła schody. Opuściła dłonie i otworzyła oczy.

Miała wrażenie, że wszędzie fruwały włosy, że znalazła się w oku włochatego cyklonu.

Krążyły wokół nagiej żarówki niczym drobny, mieniący się w jej świetle deszczyk. Osiadały na całym ciele Kelly, czuła je na twarzy i karku.

18

Zaczęła wchodzić po schodach, wciąż kaszłąc i krztusząc się; z trudem oddychała przez wciskające się do ust i gardła kosmyki. Czuła je nawet na języku.

Kiedy była już niemal na górze, poczuła, że do jej gardła dostał się wielki kłęb włosów. Przystanęła, dławiąc się i z trudem walcząc o oddech. Chciwie łykała powietrze, lecz dusząca ją kula z każdym oddechem przesuwała się coraz niżej, coraz głębiej. Bliska paniki zaczęła kaszleć, ale nie zdołała wykrztusić dławiącego ją włochatego kłębu. Skuliła się, odruch wymiotny szarpał całym jej ciałem. Rozpaczliwie machała rękami w powietrzu nadal gęstym od włosów.

Stała na szczycie prowadzących z piwnicy schodów, pewna, że lada chwila się udusi. Nie była w stanie odetchnąć, nie potrafiła wykrztusić zatykających gardło kłaków. Kurczowo trzymała się poręczy, oczy wyszły jej na wierzch. Myślała tylko o tym, jak bardzo zmartwi Patricka, umierając w jego urodziny... i to przed wręczeniem mu prezentu.

ROZDZIAŁ 3

Jakimś cudem udało jej się otworzyć drzwi prowadzące z piwnicy do salonu. Pobiegnęła do stanowisk mycia głowy, złapała podłączony do jednego z kranów wąż, odkręciła go i skierowała strumień wody wprost na twarz i w otwarte usta. Próbowwała przełknąć, zadławiła się, spróbowała ponownie odkaszląć i wreszcie udało jej się wykrztusić dławiący ją wilgotny, zbity kłęb włosów.

Pochyliła się nad zlewem, plując raz po raz. Nadal się dławiła, bo jeden z kosmyków przykleił jej się do podniebienia. Ale po kilku długich chwilach, w czasie których na przemian płukała gardło i pluła, poczuła się wreszcie odrobinę lepiej.

W lustrze nad zlewem dostrzegła, że prowadzące do piwnicy drzwi nadal są lekko uchylone.

Nie wiedziała, co robić. Może powinna zadzwonić na policję i powiedzieć, że ktoś się ukrywa pomiędzy workami śmieci? Ale co będzie, jeśli tylko sobie wyobraziła to, co się stało? Jeśli coś, co wzięła za szepty, było jedynie szelestem spowodowanym przez zwykły przeciąg? Stara pani Marshall, mieszkająca nad zakładem, mogła przecież otworzyć tylne drzwi, a to wystarczyłoby do spowodowania ruchu powietrza, który mógł także wywiać te wszystkie włosy przez dziurę w torbie.

Wybrała numer telefonu komórkowego Simona.

— To ja, Kelly.

— Co się stało? Mów szybko, jadę samochodem w strasznym ruchu.

— Słyszysz mnie? Zamiatalam piwnicę i...

— Jeszcze jesteś w salonie? Przecież chciałaś wyjść wcześniej.

— Chciałam. Słuchaj, Simon, jestem prawie pewna, że ktoś ukrywa się na dole.

— Co? O czym ty mówisz, dziewczyno. Kto?

— Nie wiem. Słyszałam jakiś głos. Mówił coś, chyba po francusku... a przynajmniej tak mi się wydawało.

— Kelly, w naszej piwnicy nikt się nie ukrywa. Możesz mi wierzyć na słowo. Kończ robotę, wracaj do domu i baw się dobrze, a ja podjadę jeszcze wieczorem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Ale wiesz, włosy...

Miała zamiar powiedzieć, że po jej sprzątaniu piwnica wygląda znacznie gorzej niż przed nim, ale Simon wjechał chyba do tunelu, bo połączenie zostało przerwane.

Odczekała chwilę, po czym odłożyła słuchawkę. Podeszła na palcach do uchylonych drzwi piwnicy. Nadstawiła uszu, ale nie usłyszała nic, żadnych głosów, żadnych dźwięków oprócz

kapania wody. Ostrożnie wyciągnęła rękę i szybko zgasiła światło.

W domu na Waverley Lane, ostatnim w drugim rzędzie identycznych domków szeregowych, urodzinowa zabawa

21

Patricka już się rozpoczęła. Przybyli z tej okazji goście i rodzina tłoczyli się w pokoju gościnnym i w kuchni. Z trudem mieścili się w maleńkim domku, ale O'Sullivanowie dawno przyzwyczaili się do tłoku, śmiechów, hałasu i nawet to polubili. Wszędzie wisiały balony i serpentyny, dzieciaki biegały po schodach jak szalone, a pies, seter irlandzki imieniem Barney, patrząc błagalnie na dorosłych i dzieci, z wywieszonym jęzorem i nastawionymi uszami chodził wokół stołu, na którym piętrzyły się pieczone kurze udka, żeberka w ostrym sosie oraz serowe krakersy.

W kuchni królowała matka Kelly, której asystowała ciocia Shelagh. Dekorowały urodzinowy tort, a właściwie sękacz, bardziej od sękacza przypominający hipopotama.

— Wiesz, gdybym chciała zrobić sękacza w kształcie hipopotama, nigdy by mi się nie udało — śmiała się ciocia Shelagh, tęga, wesola kobieta, żartująca bez przerwy i drocząca się wesoło z każdym, kto jej się nawinął. Kathleen, matka Kelly, w przeciwieństwie do niej była drobna, nerwowa i wciąż martwiła się, że któreś z jej kulinarnych dzieł — na przykład ciasto — może okazać się niedoskonałe.

— Jak minął dzień? — spytała córkę. — Nie wyglądasz najlepiej. Każą ci ciężko pracować, prawda?

— Matka ma rację, jesteś bardzo mizerna — wtrąciła ciotka. — Założę się, że nie dojadasz. Wiem, jak to jest z dziewczętami w twoim wieku. Próbują przeżyć dzień na połówce pomarańczy i jogurcie truskawkowym.

— Nic mi nie jest — odparła z westchnieniem Kelly. — Miałam po prostu męczący dzień.

Przeszła do jadalni, okupowanej przez ojca, Johna,

22

oraz licznych wujów, stojących przy kredensie z kufkami guinnessa i szklankami cydru w rękach.

— Moja księżniczka wróciła! — ucieszył się ojciec i wznosił kufel w toaście. — Przywitaj się ze wszystkimi, Kelly.

Najbliżej, niemal przy drzwiach, stał wuj Sean w swojej nieśmiertelnej marynarce z grubego tweedu, łysy, z wielkim czerwonym nosem, przypominającym staroświecką trąbkę samochodową.

— A więc jesteś fryzjerką! — zawołał. — I pewnie znasz wszystkie najświeższe plotki i ploteczki. Wiekowe damy siedzące pod suszarkami nudzą się, więc gadają i gadają...

— Nie jestem jeszcze fryzjerką, wujku. Zaledwie uczennicą. Na razie sprzątam, zamiatam, i w ogóle.

— Przede wszystkim włosy, prawda? Tyle włosów! Zawsze zastanawiałem się, co też fryzjerzy robią z tymi wszystkimi włosami. Sprzedają na materace? Na podkładki do marynarek? A może na peruki?

— Wujku, przecież nie nosiłbyś peruki z włosów, które zmiotłam z podłogi, prawda?

— A nie mogłabyś zebrać dla mnie trochę rudych? Bo ja taki właśnie byłem, rudy.

Płomiennie rudy.

— Raczej płomiennie głupi — wtrącił ojciec.

Kelly poszła na górę, do sypialni, którą dzieliła ze swoją starszą siostrą Siobhan. Nawet toaletkę miały wspólną, jej kosmetyki stały po jednej stronie, kosmetyki siostry po drugiej; wyglądały jak dwie wrogie armie, szykujące się do ostatecznej bitwy. Pomiędzy nimi płonęła świeca o zapachu wanilii. Nad łóżkiem Siobhan wisiał duży

plakat Bono, nad łóżkiem Kelly jeszcze większy plakat z Leonardem di Caprio.

Kelly marzyła o własnym pokoju, wiedziała jednak, że matka i ojciec robią, co mogą, i dają dzieciom wszystko, na co ich stać. Czasami żałowała nawet, że są tacy troskliwi i kochający, bo gdyby nie byli, wówczas mogłaby przynajmniej trochę się nad sobą poużalać.

Umyła twarz, wyszczotkowała włosy, przebrała się w krótką, czarną aksamitną spódniczkę, którą latem odkupiła od Etam, na disco-party Brendana. Długi sznur pereł odmienił ją całkowicie.

Założyła zegarek, cienką bransoletkę — i nagle dostrzegła, że do skóry na wierzchu jej przegubu przyczepiło się kilka włosów z piwnicy. Próbowwała je strzepnąć, ale nie udało jej się to. Spróbowała znowu. Chwyliła jeden z nich między kciuk i palec wskazujący, pociągnęła — i okazało się, że wrósł w skórę.

Serce Kelly zabiło gwałtownie. Znow zaczęła się dusić, zupełnie jak tam, w salonie, w piwnicy. Włosy na jej ręku — czarny, siwy i dwa inne nieokreślonego koloru — trzymały się mocno.

Siedziała przy toalecie, bliska paniki. Trwało to bardzo długą chwilę, lecz w końcu rozsądek zwyciężył. Daj spokój, powiedziała sobie. Nie bądź śmieszna. To, co zdarzyło się w piwnicy salonu, musiało być wytworem twojej wyobraźni. Przecież nie brak na świecie ludzi twierdzących z całym przekonaniem, że słyszą głosy, trzaskanie drzwi, stuk przestawianych z miejsca na miejsce przedmiotów. Babcia opowiadała nawet, że kiedy pewnego razu obudziła się nocą w swoim domku w Sneem, zobaczyła stojącą u stóp łóżka zakonnice w białym habicie.

Kelly też była przesądna i wierzyła w różne znaki i rytuały. Potarcie kamieniem usuwa

kurzajki, jeśli się z kimś pokłócisz, to możesz rzucić na niego urok, zioła mają magiczną moc, a kiedy spojrzysz w lustro przy świetle świecy, zobaczysz stojącego za tobą przyszłego męża. To ostatnie proroctwo jakoś jeszcze się nie zmaterializowało, choć próbowała; jedyne, co udało jej się wówczas dostrzec, to wiszący na drzwiach szlafrok Siobhan.

Ale skąd wzięła się burza włosów w piwnicy i głosy, które słyszała, nie miała pojęcia. I wcale nie była pewna, czy chce się tego dowiedzieć.

Otworzyła szufladę, w której Siobhan trzymała swoje skarby, wyjęła z niej pęsetę i próbowała wyrwać tajemnicze włosy. Ale choć ciągnęła tak mocno, że aż łzy napłynęły jej do oczu, nie dała rady. W końcu zdecydowała się na półśrodek, przeszła do łazienki i zgoliła je maszynką ojca.

Wróciła do sypialni, by dokończyć makijaż. Kupiła sobie nową brązową szminkę, Autumn Desire; wydeła wargi przed lustrem i przyjrzała im się dokładnie. Efekt był znakomity, szminka pasowała do koloru jej włosów, a poza tym sprawiała, że Kelly wyglądała doroślej.

Kiedy przyglądała się sobie z aprobatą, za plecami usłyszała głos:

— Czy to jednoosobowy konkurs robienia min, czy też każdy może wziąć w nim udział?

Wyprostowała się, zaskoczona. W lustrze dostrzegła wysokiego, barczystego chłopca o czarnych kędzierzawych włosach. Przyglądała mu się zdziwiona przez długą chwilę, ale gdy go wreszcie rozpoznała, odwróciła się na stołku i krzyknęła z radością:

25

— Ned! Oczom nie wierzę! Gdy widziałam cię po raz ostatni, nosiłeś krótkie spodenki.

— Ha! Nadal je noszę... podczas gry w rugby. Czekałem na dole, ale kiedy zobaczyłem, że wchodzisz po schodach, nie wytrzymałem i poszedłem za tobą. Pomyślałem, że miło byłoby odnowić naszą znajomość.

Wszedł do pokoju i rozejrzał się dookoła z wyraźnym zainteresowaniem. Chudy chłopak ze

śmiesznymi, odstającymi uszami, którego Kelly pamiętała, wyrósł na bardzo przystojnego młodego człowieka o wesołych piwnych oczach i ujmującym uśmiechu. Na policzkach miał nawet cień ciemnego zarostu, niewątpliwie dodający mu powagi.

Przeciągnęła szczotką po włosach ostatnim szybkim ruchem i wstała. W tym momencie ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie bardzo wie, co powiedzieć; to się jej jeszcze nigdy nie zdarzyło.

— Słyszałem, że zostałam fryzjerką? Pamiętam, jak opowiadałaś wszystkim, że chcesz pracować ze zwierzętami.

*

— Oszczędzam na studia weterynaryjne.

— Naprawdę? Muszę przyznać, że wyglądasz bardzo elegancko. Jakoś nie wyobrażam sobie ciebie, wtykającej rękę w krowi... no wiesz.

— Chyba za często oglądasz Jamesa Herriota.

— Być może. W każdym razie prawdziwy ze mnie miejski chłopak. Sprzedaję komputery.

Chodźmy na dół. Napijemy się i opowiem ci wszystko o mojej pracy.

— O sprzedaży komputerów? Nie brzmi to szczególnie ciekawie.

— Co ty mówisz?! Naprawdę uważasz sprzedaż komputerów za nieciekawą? Wiesz, jaką to ma przyszłość?

26

Kelly odwróciła się, by zdmuchnąć świecę. Nagle uświadomiła sobie, że twarz Neda zobaczyła za plecami, w lustrze, przy płonącej świecy. A więc może... może rzeczywiście czeka ich interesująca rozmowa o przyszłości.

Tak bardzo bała się tego, co usłyszy, gdy Simon zobaczy popękane torby i pełną włosów piwnicę, że kiedy obudziła się rano, pomyślała, że może lepiej będzie, jeśli zadzwoni do

salonu i powie, że zachorowała i bierze sobie wolny dzień. Ale w domu, jak każdego ranka, panowało gorączkowe ożywienie, wszyscy jego mieszkańcy szykowali się do szkoły lub do pracy i kiedy matka zawołała, że w przerwie na lunch trzeba zrobić zakupy, bo brakuje fasoli, paluszków rybnych, keczupu i torebek na kanapki, sumienie nie pozwoliło Kelly wylegiwać się w łóżku przez cały dzień.

Włożyła krótką, szarą wełnianą sukienkę i czarne rajstopy, a włosy przewięzała czarną wstążką.

— Wybierasz się na pogrzeb? — zażartował ojciec, kiedy zeszła na dół, i pocałował ją w policzek.

Ze zdenerwowania prawie nie zjadła śniadania, zdołała przełknąć wyłącznie grzanek cienko posmarowaną miodem. Jej brat Patrick domagał się, by mu pozwolono zjeść trzy grube kromki pełnoziarnistego chleba.

— Jestem już o rok starszy i większy — oznajmił głośno. — Muszę dużo jeść.

Najmłodszy z rodzeństwa, Martin, siedział przy stole na wysokim dzieciennym krzeselku, walcząc z tartą brzoskwinią.

— Mamo! — zawołała Kelly. — Martin wsadził sobie łyżeczkę w oko!

27

Matka nie bardzo przejęła się tą rewelacją. — Trudno. Bardzo szybko odkryje, gdzie ma usta i do czego służą. Jak każdy mężczyzna.

Każdego innego dnia dystans dzielący dom i pracę Kelly przeszłaby w dziesięć minut, ale dziś zabrało jej to znacznie więcej czasu.

Był słoneczny, choć chłodny październikowy ranek. Różnokolorowe jesienne liście piętrzyły się przy krawężnikach, w powietrzu unosił się zapach dymu. Takie poranki zawsze przypominały Kelly pierwsze dni nowego roku szkolnego i pewnie zawsze będą je

przypominać. Brakowało jej szkoły. Dopóki nie zaczęła pracować, nie zdawała sobie sprawy, jakie to trudne i przygnębiające musieć zarabiać na własne utrzymanie i podejmować ważne decyzje, nawet jeśli nadal mieszka się w rodzinnym domu i zawsze można liczyć na pomoc. Spóźniła się pięć minut. Simon zdążył już otworzyć salon i właśnie wrzucał drobne do kasy; kiedy ją zobaczył, spojrzał znacząco na zegarek, nie powiedział jednak ani słowa. Dopiero kiedy założyła fioletowy firmowy fartuch, zapytał:

— Udała się zabawa?

— Co?

— Urodzinowe przyjęcia brata. Udało się?

— Ach! Oczywiście, było bardzo przyjemnie. Dziękuję, że pytasz. Przyjechali wszyscy: wujowie, ciotki, no wiesz.

— Wiem... potrafię to sobie wyobrazić. Czasami żałuję, że nie mam takiej wielkiej rodziny.

— Ale przecież nie jesteś samotny.

28

Simon skrzywił się.

— Moi rodzice umarli dawno temu. A co do brata... nie bardzo nam się układa.

— To przykre. Zdaje się, że rzeczywiście mam szczęście. Ale w Boże Narodzenie jest prawdziwy koszmar. Trzeba wybrać tyle prezentów...

Nie spuszczała wzroku z twarzy Simona. Czekala, kiedy oznajmi jej, że widział wczoraj piwnicę i że może zacząć szukać sobie nowej pracy. Ale on tylko położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

— Powodzenia. I dziękuję, że tak pięknie posprzątałaś. Przez drzwi frontowe wmaszerowała pierwsza tego

dnia klientka, pani Edenshaw, zawsze myjąca głowę i robiąca sobie trwałą przed każdym z

licznych lunchów na cel dobroczynny. Simon zużywał na nią tyle sprayu, że śmiało mogła jechać na każdy lunch motocyklem, nie troszcząc się o kask.

Kiedy Kelly myła jej głowę, pojawił się Kevin i zapytał:

— Oglądałaś poranne wiadomości? Co za tragedia.

— U nas w domu nie ogląda się rano telewizji. Wszyscy hałasują, chrupią Rice Krispies i wrzeszczą, próbując dojść, kto komu podwędził czystą koszulę.

— Aha. Myślałem, że wiesz... Dziś rano zamordowano Richarda Walkera.

— Co? — Kelly spojrzała na niego zdumiona. — Richarda Walkera? Tego stylistę, z którym pracował kiedyś Simon?

— Tego samego. To bardzo zagadkowa sprawa, mówię ci, zupełnie jak z powieści Agathy Christie. Zginął w swoim mieszkaniu, luksusowym apartamencie nad salonem, który prowadził. Na Grosvenor Street, w samym środku West Endu. Drzwi mieszkania były za-

29

mknięte od środka, tylko małe okienko w łazience znaleźli otwarte, a to piętnaście metrów wyżej niż najwyższy dach w sąsiedztwie.

— Simon wie o tym? Co powiedział?

— Wzruszył tylko ramionami i wspomniał coś o jakiejś Glorii — wtrąciła Susan.

— Powiedział: Sic transit gloria mundi — poprawił ją Kevin. — „Tak przemija świetność świata”. To bardzo znany cytat. Z łaciny.

— Niech ci będzie, cwaniaczku. Widać, że przykładałaś się do nauki.

Kelly skończyła myć głowę pani Edenshaw, posadziła ją na fotelu Simona i, jak zwykle, zaproponowała jej filiżankę cytrynowej herbaty. Gdy Simon wziął się do pracy, podeszła dyskretnie do drzwi piwnicy. Natychmiast zauważyła wymalowany na ich czarnej powierzchni, również czarną, lecz matową farbą znak: odwrócony krzyż, a pod nim kółko.

Zaczekała, aż Simon odwróci się do niej plecami, otworzyła drzwi i włączyła światło.

Spojrzała w dół schodów i zdumiała się, nie dostrzegając ani śladu włosów. Podłoga, podobnie jak same schody, była nieskazitelnie czysta. Zniknęły nawet torby na śmieci. Nic dziwnego, że Simon nie zrobił jej awantury. Czyściej tu jeszcze nigdy nie było.

Zgasiła światło i zamknęła drzwi. Nareszcie poczuła się lepiej; doszła do wniosku, że wymyśliła sobie to wszystko, co zdarzyło się wczoraj, że był to tylko okropny koszmar — i ten ochrypli, lecz w jakiś sposób kuszący głos, i ta zamieć sztywnych, obrzydliwych włosów. Odwróciła się, otarła o stojącego tuż za nią Simona, drgnęła i krzyknęła cicho.

30

— Podziwiasz swoje dzieło?

Nie miała pojęcia, jak odpowiedzieć na to pytanie, więc tylko skinęła głową.

— Aha, skoro najwyraźniej nie masz nic do roboty, umyj głowę pannie Steadman. Użyj najmocniejszego szamponu. Ma włosy jak papier ścierny.

Kelly nagle odzyskała głos i powiedziała:

— Słyszałam o Richardzie Walkerze. Pracowałeś z nim, prawda?

Simon przez długą chwilę patrzył jej w oczy. Nawet nie mrugnął.

— Tak. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało. Okropne rzeczy zdarzają się ludziom w dzisiejszym świecie.

ROZDZIAŁ 4

Tuż przed przerwą na lunch niespodziewanie zadzwonił Ned.

— Słuchaj, wiem, że to trochę nieoczekiwane, ale właśnie sprzedałem kilka zestawów komputerowych w Northwood i jestem dosłownie pięć minut drogi od Rayner's Lane. Może zjedlibyśmy razem lunch?

— No, nie wiem... muszę zrobić zakupy.

— Zdziesz przecież, nie mam na myśli żadnej wielkiej uroczystości. Wpadniemy na pizzę.

Wczoraj wieczorem był taki hałas, że nie mieliśmy okazji pogadać.

Spotkali się w Pizza Plaża, niewielkiej restauracji przy końcu alei, na której mieścił się salon Simona. Ned zamówił dla nich obojga pizzę „Cztery pory roku” oraz pół karafki białego wina. Był w doskonałym nastroju, bez przerwy żartował i naśladował jej wujów i ciotki. Kiedy przyszła kolej na wuja Seana, przyłożył sobie do twarzy butelkę ketchupu, mającą wyobrażać jego nos.

— Wiesz, co mi powiedział? — powiedział ze śmiechem. — „W Londynie jest tyle drogowskazów, że musisz zgubić się bardzo przyzwoicie, żeby się w ogóle zgubić”.

32

Po chwili jednak odłożył kawałek pizzy z powrotem na talerz i oświadczył:

— Słuchaj, Kelly, chcę być z tobą całkowicie szczerzy. Bardzo bym chciał, żebyśmy wybrali się gdzieś wieczorem. Mam nadzieję, że nie ukrywasz nigdzie dobrze zbudowanego chłopaka, któremu ten pomysł mógłby się nie spodobać?

Poczuła się bardzo szczęśliwa. Na dworze zaczęło padać; nie lubiła październikowej mżawki, ale tym razem nawet nie zwróciła na nią uwagi. Ned z uśmiechem uścisnął jej rękę i nagle cofnął dłoń, krzywiąc się.

— Aj! Ukląłem się. Ukrywasz w rękawie szpilkę czy co?

Kelly spojrzała na swój lewy przegub. Włosy, które zgoliła maszynką ojca, zdążyły już odrosnąć, krótkie i sztywne. Chyba było ich więcej niż wczoraj, wyrosło sześć, może siedem nowych. Zacerwieniła się i szybko przykryła je drugą ręką.

— Naprawdę nie wiem, skąd się tu wzięły. Zauważyłam je dopiero wczoraj.

Ned odsunął jej rękę i przyjrzał się im bliżej.

— Zmieniasz się w wilkołaka — zażartował, ale zaraz spoważniał. — Przepraszam,

naprawdę nie chciałem cię zdenerwować. Trochę to dziwne, prawda? Widziałem włosy wyrastające ze znamienia, ale nawet one nie były takie sztywne.

— To z pewnością nic groźnego. Wystarczy krem do depilacji. Pożyczę trochę od Siobhan.

Ned zajrzał jej w oczy.

— Wcale nie jesteś przekonana, że to „nic groźnego”, prawda? Martwisz się, przecież widzę, że się martwisz. Przepraszam za głupie żarty.

33

— Sama nie wiem... No dobrze, chyba rzeczywiście się martwię. Wczoraj wieczorem zdarzyło się coś strasznego... a potem pojawiły się te okropne włosy.

Ned dolał jej wina.

— Bardzo cię proszę, powiedz mi wszystko, skoro już zaczęłaś. Co takiego strasznego zdarzyło się wczoraj wieczorem? O ile się nie mylę, zgodziłaś się pójść ze mną na randkę.

Jeśli nie opowiesz o wszystkim swojemu chłopakowi, to komu o tym opowiesz?

Zacinając się, Kelly niechętnie zaczęła mówić o tym, co zdarzyło się w piwnicy salonu Simona Crane'a, a raczej o tym, co jej się wydawało, że się tam zdarzyło.

— Myślałam, że umrę — zakończyła swoją relację. — Naprawdę tak myślałam. Ale kiedy zajrzałam tam dziś rano, piwnica była wysprzątana, wręcz lśniła czystością. Jakby nic się tam nie zdarzyło.

— I teraz pewnie wydaje ci się, że to wszystko jest wytworem twojej wyobraźni?

— Tak. Nie... Wydawałoby mi się, gdyby nie te włosy.

— A jeśli sama tego nie wymyśliłaś, to kto, twoim zdaniem, posprzątał piwnicę?

— Pewnie Simon. Któż by inny? Ale przecież zachowywał się tak, jakby był przekonany, że ja to zrobiłam!

Ned przeciągnął dłonią po karku. Zastanawiał się przez chwilę, zanim zadał następne pytanie.

— A głosy? Nie wiesz, kto mówił i co powiedział?

— Nie mam pojęcia, ale ten ktoś mówił po francusku. Jestem tego całkiem pewna. Tylko że to nie był ten francuski, którego uczyliśmy się w szkole. Brzmiało to trochę jak „będziesz czysta” i „taki tak”, a to przecież zupełnie bez sensu, prawda?

— To był kobiecy głos czy męski? Jak myślisz?

34

Kelly zadrżała na samo wspomnienie tego głosu.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Jakoś tak szeptał... jakby mówił coś paskudnego. Jakieś straszne świństwa.

Ned wyjął długopis i zapisał coś na serwetce.

— Powiem ci, co zrobię. Jeszcze dziś, kiedy wrócę do firmy, spróbuję sprawdzić to i owo w Internecie. Kto wie, może to twoje „taki tak” ma nawet swoją stronę?

— Uwierz mi, powiedziałam szczerą prawdę. Wcale sobie tego nie wymyśliłam.

— Wierzę ci, oczywiście, że wierzę. Ale teraz muszę wracać do pracy. Ty również.

Odprowadził ją alejką aż pod same drzwi Sizzuz. Deszcz przestał padać, zza chmur wyłoniło się słońce — tak blade, że przypominało kroplę soku z cytryny. Trzymali się za ręce, ich cienie także, podobnie jak odbicia w odwróconym do góry nogami świetle pod ich stopami. Gdy mijali sklep elektroniczny, na jedenastu różnej wielkości ekranach pojawiły się popołudniowe wiadomości. Z londyńskiego domu sanitariusze wynosili przykryte prześcieradłem ciało. Nie słyszeli komentarza, ale Kelly domyśliła się, że to ciało Richarda Walkera.

— Idziemy — powiedział Ned i odciągnął ją od rzędu telewizorów.

— Oczywiście — odparła i posłusznie poszła za nim. Nie potrafiła jednak przestać myśleć o Walkerze i o tym, jak zginął.

Zabójstwem interesowały się wszystkie popołudniowe gazety. „Tajemnicze morderstwo w Mayfair”. „Słynny stylistę zamordowany”. „Tajemnica zamkniętego pokoju” — głosiły nagłówki.

35

W przerwie na kawę Susan i Kelly przeczytały wszystko, co napisano o tej sprawie. Richard Walker, lat trzydzieści siedem, często zatrudniany przez rodzinę królewską, stały fryzjer dwóch girlsbandów i niemal wszystkich aspirujących do wielkości gwiazdek filmowych, zginął zamordowany brutalnie we własnej sypialni. Rzecznik Scotland Yardu określił zabójstwo jako „okrutne”. Policja apelowała o zgłoszenie się świadków, którzy nad ranem, w okolicach Grosvenor Square, widzieli człowieka „ociekającego krwią”.

Wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Jak morderca wszedł do mieszkania Walkera? Z pewnością nie mógł dostać się tam przez frontowe drzwi, nawet gdyby miał klucz, bo były one pod ciągłą obserwacją kamery wideo i jego pojawienie się tam z pewnością zostałoby zarejestrowane na taśmie.

A w ogóle dlaczego ktoś miałby zabijać tego człowieka? Walker był bardzo popularny i lubił pokazywać się w towarzystwie. Nie miał wrogów. Czyżby motywem była zazdrość albo próba wymuszenia? Zawodowa zawiść? Narkotyki? I jakim cudem mordercy udało się uciec? Na okienku w łazience i na zewnętrznych ścianach budynku nie było śladów krwi, a o dach z całą pewnością nie oparto żadnej drabiny.

Policja oświadczyła, że ma pewien trop, nie może go jednak ujawnić w obawie przed „naśladownictwami i plagą fałszywych wyznań winy”.

W kuchni pojawił się Simon, przerywając im lekturę.

— Do roboty, przerwa skończona. Kevin, czwarta minęła jakiś czas temu.

— Ale ja jeszcze nie skończyłem banana.

— Nie martw się, poczeka na ciebie.

36

Kevin posłusznie ruszył do salonu, wpychając po drodze do ust resztę banana; wyglądał jak wiewiórka niosąca orzeszki do dziupli. Simon przestał się nim interesować, jego uwagę przykuła gazeta. Zaczął czytać artykuł zamieszczony na pierwszej stronie.

Susan i Kelly poszły za Kevinem, ale Kelly przypomniała sobie w ostatniej chwili, że na stanowisku Susan może zabraknąć chusteczek. Odwróciła się, by po nie pójść, i zobaczyła, że Simon, pogrążony w lekturze artykułu „Najbrutalniejsze morderstwo, jakie widziałem”, uśmiecha się do siebie.

Musiał usłyszeć jej kroki, bo podniósł wzrok znad gazety. Jego uśmiech znikł tak szybko, że Kelly zwątpiła, czy rzeczywiście widziała to, co widziała.

— Okropne, prawda? — spytała, wskazując gazetę.

— Rzeczywiście okropne. Nikt jednak przecież tak naprawdę nie wie, jak ten człowiek żył, jakie ukrywał sekrety.

— Myślałam, że byliście bliskimi przyjaciółmi — zdziwiła się Susan.

— Owszem, byliśmy — odparł Simon. — Ale czasy i ludzie się zmieniają, i ludzkie ambicje też.

— Co to znaczy?

— Cokolwiek chcesz, żeby znaczyło. Koniec gadania, bierzemy się do roboty. Na dzisiejsze popołudnie zapisało się jedenaścioro klientów. Uczeszymy ich tak pięknie, jak jeszcze nigdy nie byli uczesani.

Objął Kelly ramieniem, prowadząc ją do salonu. Spojrzała na niego, a on się do niej uśmiechnął. Do tej pory nie zachowywał się w ten sposób, nigdy nawet jej nie dotknął. Kelly poczuła nagle, że brakuje jej tchu. Simon Crane był bardzo przystojnym mężczyzną, choć

znacznie starszym od niej, ale nawet wiek działał na jego korzyść. Czowała, że potrafiłby się nią zaopiekować i chronić ją, choćby nie wiadomo co się działo.

Tego wieczoru zamiotła salon, napełniła kolejną torbę włosami i oczywiście zaniósła ją do piwnicy. Na wszelki wypadek drzwi do salonu pozostawiła szeroko otwarte. Przystawała na każdym stopniu, wstrzymywała oddech i nasłuchiwała, ale trudno było usłyszeć coś przez hałas suszarki Simona i muzyki Puffa Daddy'ego, dobiegającej z głośników.

Kap, kap, kap. Przez hałas przebijał tylko odgłos kapiącej wody, nic więcej. Mimo to Kelly nie zeszła na sam dół, zatrzymała się na trzecim schodku od podłogi piwnicy i rzuciła torbę do kąta. Torba odbiła się, przekoziółkowała, a Kelly szybko uciekła na górę. Już miała zamknąć za sobą drzwi, gdy nagle wydało jej się, że słyszy kaszel... a może śmiech?

Zatrzymała się i zmarszczyła czoło.

Będę czysta — powiedział niski nosowy głos; Kelly wydawało się, że dobiega znad jej ramienia.

Zatrzasnęła drzwi jednym szybkim ruchem.

Simon odwrócił się i spojrzał na nią zdziwiony.

— Co się stało? — spytał. — Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Kelly zapragnęła nagle opowiedzieć mu o wszystkim, ale Simon wrócił do pracy, żartując i rozmawiając z klientką o wakacjach na Ibizie. Podniosła więc pudło po butelkach z szamponem i zaniósła je w kąt salonu. Mimo iż była pewna, że drzwi do piwnicy są zamknięte, wciąż oglądała się przez ramię, sprawdzając, czy nikt za nią nie idzie.

38

Gdy sprzątała podręczny magazynek, z góry zeszła pani Marshall, niosąc pod pachami dwa koty. Miała siwe, potargane włosy, które z uporem godnym lepszej sprawy próbowała wiązać w kok, używając do tego celu mnóstwa wsuwek, szpilek i grzebieni. W jej pomarszczonej,

suchej twarzy błyszczały oczy, które podczas rozmowy poruszały się zupełnie niezależnie od siebie. Na nie pierwszej czystości białą bluzę od Woolwortha i workowate zielone spodnie od dresu narzuciła wystrzępiony japoński jedwabny szlafrok. Z kącika jej ust zwisał nieodłączny papieros.

— Ach, to ty, moja kochana! — zawołała, gdy zobaczyła Kelly. — Jak się masz? Jak udała się urodzinowa zabawa twojego braciszka? Nie zachorował, prawda? Moi chłopcy, kiedy wyprawiałam im urodzinowe przyjęcie, zawsze obżerali się ciastem i popcornem, a potem, bleee, wszystko zwracali. Oczywiście, kiedy byli dziećmi, teraz są już trochę starsi. Jeden ma czterdzieści dziewięć, a drugi pięćdziesiąt jeden lat. Teraz sami użerają się ze swoimi dziećmi.

Oba koty wyrwały się i zeskoczyły na podłogę. Pani Marshall otworzyła im tylne drzwi, prowadzące na wybetonowane podwórko.

— Idźcie, załatwcie swoje sprawy — powiedziała do nich. — Tylko ani mi się wazcie flirtować z tym kocurem sąsiadów!

— Bardzo lubię tego czarnego kota. Jak on się nazywa? — spytała Kelly.

— To nie on, tylko ona. Ma na imię Isabel.

— Jest piękna.

— Och, ona jest nie tylko piękna. To moja kotka stróż. Kochana Isabel opiekuje się mną, doskonale opiekuje,

39

możesz mi wierzyć. Jest moimi oczami i uszami. Powinnaś zobaczyć, jak stawia ogon, gdy ktoś idzie po schodach! Zawsze odróżnia ludzi dobrych od złych. Weźmy na przykład tego twojego szefa, tego Simona Crane'a. Tylko rzuci na niego okiem i zaraz cała się jeży.

— On jest w porządku. Wspaniale się z nim pracuje.

— Dla ciebie może i jest wspaniały, ale czy wiesz, że próbuje wyrzucić mnie z mieszkania?

— Nie, nic o tym nie słyszałam. Dlaczego miałby robić coś takiego?

— Ma swoje plany, dlatego. Chce przerobić moje mieszkanie na coś, co nazwał Centrum Zdrowego Życia. No wiesz, maszyny do ćwiczeń, sauny i takie tam.

— Ale nie może pani po prostu wyrzucić, prawda? Pani Marshall zakaszłała i potrząsnęła głową.

— Nie, kochanie, nie może. Mam stałą umowę najmu i nic nie może na to poradzić ani on, ani nikt inny. Dlatego tak się zdenerwował, kiedy ze mną o tym rozmawiał. Proponował mi dwadzieścia pięć tysięcy funtów, żebym się wyniosła, ale ja nawet nie chciałam z nim gadać. To mój dom i będę tu mieszkała aż do śmierci.

Z podwórka wróciła Isabel, podniosła łeb i obwąchała Kelly. Dziewczyna pochyliła się i próbowała ją przywabić, przemawiając do niej pieszczotliwym głosem.

— Jesteś taka piękna, Isabel. Dobry kotek, dobry — powtarzała.

Podniosła kotkę i pogłaskała ją po łebku, ale zwierzę szarpnęło się nagle w jej objęciach, miauknęło przeraźliwie, wysunęło pazury, zeskoczyło na podłogę i uciekło do mieszkania pani Marshall.

— Ach, jaka niegrzeczna! — zawołała pani Marshall.

40

— Ciekawe, co jej się stało? Dziwne zachowanie. Nie skaleczyła cię, prawda?

— Nie sądzę. — Kelly podwinęła rękaw firmowego kombinezonu Sizzuz. Natychmiast zauważyła, że włosy na jej nadgarstku urosły i było ich jeszcze więcej. Pokazała je pani Marshall. — Co to może być? — spytała. — Te włosy. Zaczynam się nimi martwić.

Pani Marshall wyjęła papierosa z ust. Przyjrzała się włosom uważnie.

— Nie mam pojęcia, kochanie, nie mam pojęcia. — Pokręciła głową. — Pewnie mają coś

wspólnego z hormonami. Pamiętam koleżankę ze szkoły... miała wąsy, których nie powstydziliby się gwardzista przed pałacem Buckingham.

— Nic już nie rozumiem... Ogoliłam je maszynką ojca, ale odrosły.

— No cóż, jeśli martwią cię tak bardzo, poradź się swojego lekarza. Z pewnością pomoże ci się ich pozbyć. Jak to się nazywa? Elektroliza?

Z salonu nagle wyłonił się Simon.

— Kelly, jesteś mi bardzo potrzebna. Chodź, dziewczyno, masz lepsze rzeczy do roboty niż plotkowanie z tą upartą starą krową.

— Hej! — zawołała pani Marshall. — Kogo nazywa pan upartą starą krową?

— Panią. Próbuję rozwinąć firmę, a pani rzuca mi kłody pod nogi.

Pani Marshall wzięła drugiego kota za kark.

— Zapamiętaj sobie, co mówię, Simonie Crane! Pewnego dnia przydarzy ci się coś złego.

Coś bardzo, bardzo złego.

— Już mi się przydarzyło. Pani stanęła mi na drodze.

41

Kiedy wracali do salonu, Kelly powiedziała z wyrzutem:

— Byłeś dla niej bardzo nieuprzejmy, a to przecież biedna, samotna staruszka. Ma tylko te swoje koty.

Simon skinął głową.

— Owszem, biedna staruszka. Ale gdyby dziś w nocy umarła... rozumiesz, tak się tylko mówi... to pewnie bym się nie popłakał.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy wieczorem Kelly wyszła z pracy, spotkała ją bardzo przyjemna niespodzianka. Na ulicy, za kierownicą białego forda escorta, czekał na nią Ned. Otworzył okno i zapytał:

— Podwieźć cię do domu?

— Nie musisz — odpowiedziała, ale usiadła na fotelu dla pasażera. — Przecież to zaledwie dziesięć minut spacerem.

Ned włączył silnik i odjechał od krawężnika.

— Wiem. Ale chciałem się z tobą zobaczyć. Zajrzałem do Internetu.

— I co?

— Niczego nie znalazłem. Kompletna pustka. Ani słowa o „będę czysta” i „taki tak”, przynajmniej nie w interesującym nas kontekście. Potrzebuję więcej informacji.

— Dzisiaj znów to się zdarzyło. Zeszłam do piwnicy i usłyszałam słowa: „Będę czysta”. To było okropne, rozległy się tak blisko mnie. Wydawało mi się nawet, że czuję na karku oddech tego, kto je wypowiedział.

43

Ned skręcił w lewo, w Waverley Road.

— Chyba powinienem przyjść do was i przyjrzeć się tej piwnicy. Może ukrył się w niej dziki lokator?

— Jakim cudem? Niemożliwe. Nie mógłby wejść ani wyjść. W ciągu dnia w salonie zawsze ktoś jest, a na noc zamykamy go na cztery spusty i włączamy alarm. Poza tym na dole nie ma jedzenia ani żadnych wygod. Nawet koców.

— Za to są włosy. Bardzo ciepłe.

— Wiem. Ale jakoś nie potrafię uwierzyć w dzikiego lokatora. Nie mam pojęcia, jak mógłby się tam zagnieździć.

Podjechali do domu Kelly.

—

Słuchaj, może wpadłbym po ciebie trochę później — zaproponował Ned. —

Podjechalibyśmy do „Harvest Moon”. Dziś będzie tam grał irlandzki zespół. Zapomnisz o kłopotach, o całej tej sprawie z piwnicą.

Kelly zgodziła się natychmiast.

— Doskonały pomysł. Będę wolna po kolacji, około ósmej.

Kiedy sięgnęła do zatrzasku pasów bezpieczeństwa, Ned przykrył jej dłoń swoją.

— Wypuszczę cię pod warunkiem, że zapłacisz mi pocałunkiem.

Odgarnęła włosy z czoła wolną ręką.

— Uważasz się za kogoś wyjątkowego, prawda? — spytała.

— Och, oczywiście. Nie brak mi pewności siebie. Kelly cmoknęła go w policzek.

— Na razie to ci musi wystarczyć — oświadczyła ze śmiechem i wysiadła z samochodu.

Ned zrobił smutną minę i odjechał, trąbiąc na pożegnanie. Przystanęła, odprowadzając

wzrokiem oddalającego się forda. Ale uśmiech znikł z jej twarzy, gdy dotknęła

przegubu ręki. Ostre, szczeciniaste włosy nadal tam były. Coraz dłuższe i coraz gęstsze.

Pierwszym klientem następnego ranka była panna Paleforth. Kelly lubiła ją, choć Kevin i

Susan uważali, że to beznadziejna dziwaczka.

— Nie mam pojęcia, o czym z nią rozmawiać — skarżył się Kevin. — Kiedy pytam na

przykład: „Dokąd jedzie pani w tym roku na wakacje?” — gapi się na mnie, jakby nie

wiedziała, co oznacza słowo „wakacje”.

Panna Paleforth odwiedzała salon raz w tygodniu, ale nie zawsze tego samego dnia. Jej jasne

włosy były nieodmiennie myte i zakręcane. Nie miała więcej niż dwadzieścia dziewięć, może

trzydzieści lat, nosiła jednak wyblakłe, sięgające aż po kostki aksamitne spódnice,

staromodne szale i czarne buty ze sztucznego tworzywa. Cerę miała tak bladą i błyszczącą, że

jej twarz wydawała się niemal srebrna i przypominała księżyc. W dziwny, niemal

niezauważalny sposób była prawdziwą piękną — także dzięki kształtnym, pełnym ustom,

których urodę podkreślała lawendowa szminka.

Kiedy Kelly zaczęła myć jej włosy, panna Paleforth powiedziała nagle:

— Słuchaj, jesteś dziś jakaś inna... Czy coś się stało?

— Woda nie jest chyba za gorąca? — zaniepokoiła się Kelly.

— Gdyby była, wrzeszczałabym jak upiór. Nie odpowiedziałaś ma moje pytanie. Przecież widzę, że się

44

45

zmieniłaś. Widzę aurę. Jestem bardzo wrażliwa na aury, a w twojej wyczuwam poważne zakłócenia. U młodej dziewczyny aura powinna być jasna, świetlista, tymczasem twoja jest mroczna, zamglona jak dno mulistego stawu. — Przyjrzała się Kelly uważnie, mrużąc oczy.

— Mulisty staw z czymś groźnym, kryjącym się na jego dnie. Czymś bardzo, bardzo groźnym.

Kelly próbowała się uśmiechnąć, lecz nie udało jej się to.

— Trochę się martwię, owszem, ale to z pewnością nic poważnego.

— Nie chodzi o chłopca, prawda? Nie, aura nie byłaby wówczas aż tak ciemna. Wygląda na to, że czujesz się zagrożona... Martwisz się o swoje zdrowie, prawda?

Kelly wahała się przez chwilę, po czym powiedziała:

— Szczerze mówiąc, ma pani rację. Chodzi o to...

Pokazała przegub dłoni. Panna Paleforth ujęła go delikatnie i ostrożnie przeciągnęła po włosach smukłym palcem o pomalowanym na srebrno paznokciu.

— Nie widziałam czegoś takiego od wielu, bardzo wielu lat — oświadczyła po chwili.

Próbowała wyrwać jeden z włosów, tkwił jednak w skórze tak mocno, że nie udało jej się tego zrobić.

— Ale co to jest? — spytała Kelly.

— W kręgach ludzi zajmujących się magią takie włosy noszą nazwę szatańskich.

— Szatańskie włosy...?

— Porastają one kogoś, kto wszedł w kontakt z czymś lub kimś bardzo złym, często tak złym, że nawet piekło go nie chce. Rozumiesz, o czym mówię?

Kelly potrząsnęła głową.

— Nigdy nie spotkałam nikogo złego — odparła i pomyślała, że panna Paleforth jest większą dziwaczką, niż sądziła. Że ma nierówno pod sufitem. Próbowwała cofnąć rękę, ale kobieta zacisnęła dłoń na jej nadgarstku.

— Powinnaś spotkać się ze mną po pracy. Dam ci mój numer telefonu.

— Dziś nie mogę. Idę do lekarza.

— Zapamiętaj sobie moje słowa: żaden doktor nie wyleczy cię z szatańskich włosów. Ale skoro uważasz, że powinnaś odwiedzić lekarza, oczywiście zrób to. Pamiętaj tylko, że kiedy wszystko zawiedzie, zawsze możesz skontaktować się ze mną.

Zaczęła grzebać w swojej przypominającej worek hinduskiej torbie, a kiedy znalazła w niej listę zakupów, kredką do powiek zapisała na jej odwrocie swój numer telefonu.

— Dziękuję — powiedziała Kelly z wyraźnym powątpiewaniem.

Ale panna Paleforth jeszcze nie skończyła.

— Wiem dobrze, że mi nie wierzysz. Że masz mnie za wariatkę. Nic nie szkodzi. Ważniejsze jest to, że możesz być w straszliwym niebezpieczeństwie, ta zła osoba może nadal kręcić się wokół ciebie. Kimkolwiek jest, stanowi bardzo wielkie zagrożenie. Szatańskie włosy będą coraz gęściejsze, będą coraz szybciej rosnać. Jeśli się ich nie pozbędziesz, w końcu opanują cię całą. Wówczas i ty staniesz się zła. Tak zła, że w tej chwili nawet nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

— Wszystko w porządku, Kelly? — spytał Simon, który podszedł do nich właśnie w tej chwili. Panna Paleforth uśmiechnęła się do niego.

— Kelly jest najlepszą nową asystentką, jaką kiedykolwiek miałeś — oświadczyła. — Powinieneś podwoić jej pensję.

— Nie ma mowy — zaśmiał się Simon Crane. — Ale może przedłużę jej przerwę... o pięć minut.

Kiedy odchodził, Kelly zobaczyła, jakim spojrzeniem odprowadza go panna Paleforth. Było w tym spojrzeniu coś dziwnego i przerażającego: tak bezradny kot patrzy na atakującego go, wściekle warczącego psa. Dopiero teraz naprawdę się zaniepokoiła. Czyżby panna Paleforth sądziła, że te „szatańskie włosy” mają coś wspólnego z jej szefem? Nie, to niemożliwe, pomyślała. Jeśli jest tutaj ktoś naprawdę zły, to przecież nie on! Kiedy objął ją wcześniej, poczuła, że naprawdę mu na niej zależy.

Wklepała klientce ziołową odżywkę we włosy i wytarła je mocno, niezbyt delikatnie.

Następnie zaprowadziła ją do Susan na strzyżenie i suszenie. Przed wyjściem panna Paleforth zdążyła jeszcze złapać ją za rękaw i powiedzieć:

— Nie zapomnij, Kelly. Możesz odwiedzić mnie, kiedy tylko chcesz, czy to w dzień, czy w nocy. Nie bój się. Nie jesteś sama. Kiedy uznasz, że pora poszukać pomocy, znajdziesz mnie bez kłopotu. Będę na ciebie czekała.

— Czego ona od ciebie chciała? — spytał Kevin, gdy Kelly czyściła umywalki.

— Nie mam pojęcia, ale uwierz mi, potrafi człowieka przestraszyć. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby okazało się, że jest czarownicą albo coś takiego.

— A o co właściwie chodziło?

— Na ręku wyrosły mi jakieś dziwne włosy — odparła Kelly niechętnie.

— Dziwne? Pokaż.

Podciągnęła rękaw i pokazała mu przegub dłoni. Kevin skrzywił się i pokręcił głową.

— Rzeczywiście, bardzo dziwne. Ale z tym problemem poradzą sobie zwykłe nożyczki.

— Tak sądzisz? Panna Paleforth powiedziała, że to szatańskie włosy i że wyrosły, ponieważ zetknęłam się z czymś bardzo, bardzo złym.

W przerwie na lunch Kelly poszła na Harrow Street, do gabinetu doktora Cummingsa, młodego lekarza o rumianych policzkach i śmiesznie zjezonych włosach na potylicy. Lekarz zbadał dokładnie przegub dziewczyny, a włosom przyjrzał się przez szkło powiększające.

— Bardzo dziwne — orzekł. — Każdy z nich ma inny kolor.

— Próbowałam je zgolić, ale odrastają. Coraz szybciej.

— Sądzę, że najwłaściwszym rozwiązaniem będzie elektroliza. Usuwa korzenie. Mogę załatwić ci wizytę u trychologa w Middlesex Hospital.

— Jak pan myśli, dlaczego mi tak nagle wyrosły? Mam nadzieję, że nie będzie ich więcej. Bo wie pan, wydaje mi się, że one się rozrastają.

Doktor Cummings opadł na krzesło.

— Nie sądzę, żebyś miała skończyć w cyrku jako „kobieta z brodą”, więc możesz się nie martwić. Najprawdopodobniej mamy tu do czynienia z jakimś niewielkim zakłóceniem pracy gruczołów.

Wypisał skierowanie do szpitala, poklepał Kelly po ramieniu, jakby próbował dodać jej odwagi, i odprowadził do drzwi gabinetu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że na temat jej dolegliwości wie niewiele więcej od niej.

Poczuła się tak, jakby ziemia powoli rozstępowała jej się pod nogami.

Kiedy wróciła do salonu, Kevin poczęstował ją batonikiem Bounty; gdyby sam zjadł dwa, gnębiłyby go wyrzuty sumienia.

— Simon wyszedł i dziś już nie wróci — oznajmił. — Poszedł załatwiać coś w sprawie tego swojego Centrum Zdrowego Życia. Ja tam nic nie wiem, ale wygląda mi na to, że strasznie się tym denerwuje. Przez to, że stara pani Marshall nie chce się wyprowadzić.

Kelly przesunęła fotele i zamiotła pod nimi dokładnie.

— Szkoda, że nie słyszałeś, jak z nią wczoraj rozmawiał. Nazwał ją starą krową. Powiedział jej to wprost w oczy.

— Okropne! Obraził w ten sposób wszystkie wiekowe przedstawicielki społeczności bydła rogatego!

— O której masz następną klientkę? Obiecałeś, że mi pokażesz, jak robi się masaż skóry głowy.

— Dopiero o wpół do czwartej. Słyszałaś o nowych faktach, które wyszły na jaw w sprawie Richarda Walkera? Podawali je dziś rano.

— Nie słyszałam. Nie miałam czasu. — Kelly zmiotła wszystkie włosy na kupkę i poszła po śmietniczkę.

— Policja twierdzi, że był szantażowany. Nie wiedzą przez kogo, ale wydaje się, że ten szantaż ciągnął się przez lata.

— A wiesz, o co chodziło?

— To jakaś bardzo dziwna sprawa. Jedną z jego stałych klientek była Chrissy Black, no wiesz, ta modelka robiąca wszystkie reklamy czekolady. Któryś z jego najlepszych stylistów zakochał się w niej, ale tak na amen. Wpadł po uszy. Mieszkali przez jakiś czas razem, ale szybko go rzuciła. No i kiedy następnym razem przyszła do salonu Richarda Walkera, ten stylistę ogolił jej pół głowy! A chyba pamiętasz, jakie miała wspaniałe włosy.

— Nie żartuj! I co zrobiła Chrissy?

— No cóż, przez dobre pół roku musiała nosić peruki. Ale zgodziła się siedzieć cicho. Za sto

tysiący funtów. Ten stylistą też trzymał gębę na kłódkę... gdyby gadał, nigdzie nie znalazłby pracy. A jakby prasa dowiedziała się o tej sprawie, Richard Walker byłby skończony. Wydaje się jednak, że ktoś jeszcze dowiedział się o wszystkim i zagroził, że pójdzie do „News of the World”, jeśli Walker mu nie zapłaci... i nie będzie płacił dalej. Ale w wiadomościach powiedzieli, że Walker miał wreszcie dość i zagroził, że pójdzie na policję i złoży skargę, choćby diabli mieli wziąć jego reputację. Tylko że nie zdążył.

— Więc sądzą, że zamordował go szantażysta?

— Na to wygląda, nie?

— Okropne!

— Pewnie, że okropne. Problem w tym, że policja nadal nie ma pojęcia, jak morderca dostał się do środka. No i w mieszkaniu Walkera też nie znaleziono żadnych śladów. Ten tajemniczy ktoś włamał się do jego biurka i zabrał wszystkie papiery. Więc nawet gdyby Walker zapisał gdzieś, kto był tym szantażystą, to wszystkie dowody zniknęły.

Po południu, pod nieobecność Simona, atmosfera w salonie zrobiła się bardziej swobodna. Susan głośniej puściła muzykę, a Kevin rozbawił wszystkich, tańcząc solo salsę i nie przerywając przy tym rozczesywania ufarbowanych na rudo włosów pani Bartlett. Był niedoścignionym mistrzem w prawieniu komplementów klientkom. Gdyby któraś zażyczyła sobie ufarbowania włosów na fioletowo, Kevinowi nawet nie drgnęłaby powieka. „Na fioletowo, pani McAllister? Wspaniale! Doskonale to do pani pasuje, naprawdę doskonale!”. Klientką Susan była prześliczna dziewczyna z Pendżabu. Susan jak nikt inny potrafiła przyciąć i ułożyć włosy jednocześnie skromnie (żeby tata nie protestował) i zarazem na tyle wyzywająco, by pasowały na zabawę, a nawet dyskotekę. Wykorzystywała styl afro-karaibski i wyrobiła sobie markę, twórczo łącząc fale i dredy.

— Moim zdaniem problemem Simona jest nadmiar ambicji — stwierdziła. — Nie w tym

rzecz, że chce zostać drugim Nickiem Clarke, ale w tym, że chce nim zostać jutro, rozumiecie? Jest dobry, nawet bardzo dobry, zachowuje się jednak tak, jakby nie rozumiał, że tego rodzaju biznes buduje się latami!

Wzięła słoik odżywki i chciała go otworzyć, ale pokrywka nie dawała się zdjąć.

— Nie powinni zamykać ich tak mocno — poskarżyła się. — Kevinie, możesz mi to odkręcić?

Kevin oczywiście spróbował. Walczył z pokrywką, zaczerwienił się, zdyszał, ale otworzyć słoika nie potrafił. Wręczył go Kelly i powiedział:

— Trzeba podstawić go pod gorącą wodę.

Kelly włożyła słoik do umywalki, ale zanim puściła wodę, spróbowała przekręcić pokrywkę. Lewą ręką, która zawsze była u niej słabsza — tą, na której wyrosły dziwne włosy. Pokrywka odkręciła się lekko, bez problemu, jakby w ogóle nie była zakręcona. Dziewczyna podniosła ją w tryumfalnym geście.

— Tadaaam!

— Och, daj spokój, pewnie obluzowałem ją trochę. Zrobiłem całą robotę za ciebie — burknął Kevin.

— Nic podobnego — roześmiała się Susan. — Jesteś słabeuszem, jakiego świat nie widział, tylko nie chcesz się do tego przyznać.

— Wcale nie jestem słaby — zaprotestował Kevin. — Wrażliwy, owszem, ale z całą pewnością nie słaby.

Kelly zakręciła pokrywkę najmocniej, jak potrafiła, i podała słoik Kevinowi.

— No to spróbuj teraz.

Kevin spróbował. Męczył się, stękał, ale pokrywki ze słoika nie zdjął. Oddał go w końcu Kelly, która odkręciła ją bez najmniejszego problemu.

— Ćwiczyłaś na siłowni — stwierdził gniewnie.

— Co niby miała ćwiczyć? — zdziwiła się Susan. — Popatrz tylko na te jej cieniutkie rączki.

— No dobrze. Siłujemy się na rękę?

— A co z panią Bartlett?

— Och, mną nie musicie się przejmować. — Pani Bartlett obróciła się w fotelu. — Nie mam nic przeciwko zakładom i odrobinie dobrej zabawy.

Kevin przeszedł za ladę i podwinął rękaw koszuli.

— No chodź, zobaczymy, jaka jesteś silna.

Kelly podeszła do niego niechętnie. Oparła na ladzie lewy łokieć i ujęła jego lewą dłoń.

— Gotowi? Teraz! — krzyknęła Susan.

Kelly z całej siły ścisnęła dłoń Kevina i nagle poczuła wszystkie mięśnie palców chłopaka.

Czuła każde ścięgno. Czuła kości. Wzmocniła chwyt i zaczęła przyginać rękę,

patrzając przeciwnikowi w oczy. Kevin gapił się na nią zdumiony, wyduł usta z wysiłku, po jego czole i policzkach ściekały wielkie krople potu.

— Bierz się do roboty! — pogoniła go Susan. — Przecież to tylko dziewczyna!

Kevin wysyczał coś przez zaciśnięte zęby. Ramię zaczęło mu drżeć, po chwili drżał już na całym ciele. Centymetr po centymetrze, powoli, lecz zdecydowanie, Kelly odchylała jego rękę od pionu. Wiedziała, że potrafi wygrać walkę jednym szybkim pchnięciem, wołała jednak zachować pozory zaciętego pojedynku. Miała pięciu braci i męską dumę znała z pierwszej ręki, wiedziała o niej wszystko, co tylko można wiedzieć, i choć chciała pobić Kevina, nie zamierzała go upokarzać.

Stękając cicho, Kevin zdobył się na ostateczny wysiłek. Przyciskał coraz mocniej, na Kelly jednak ten kontratak nie wywarł żadnego wrażenia. Usłyszała, jak trzeszczą kostki jego palców, i w tym momencie uświadomiła sobie, że jest tak silna, że mogłaby zgnieść mu dłoń

z taką łatwością, z jaką opona samochodu miażdży nieostrożnego gołębia.

Kevin krzyknął, kiedy docisnęła. Odskoczyła od lady i uniosła obie dłonie w przeproszającym geście.

— Hej, słuchaj, ja naprawdę nie chciałam zrobić ci krzywdy...

Kevin pomachał dłonią w powietrzu i dmuchnął na obolałe palce.

— Mogę ci powiedzieć jedno — burknął, wyraźnie niezadowolony — nie potrzebujesz dziadka do orzechów, bo możesz je miażdżyć jedną ręką!

Susan śmiała się głośno, a porzucona przez Kevina klientka, pani Bartlett, biła brawo, powtarzając: „Świetnie, Kelly, bardzo dobrze”. Ale kiedy Susan spojrzała na Kelly, coś ją zaniepokoiło w wyrazie jej twarzy. Przestała się śmiać, podeszła do koleżanki i położyła jej dłoń na ramieniu.

— Co się stało? — spytała. — Przecież wygrałaś?

— Popatrz na mnie... — Kelly miała łzy w oczach. — Czy ja wyglądam na kogoś, kto mógłby pobić takiego wielkiego chłopca w jakiegokolwiek męskiej konkurencji?

Susan nie odpowiedziała, bo po prostu nie wiedziała, co powiedzieć. Kevin wrócił do pani Bartlett i po chwili ona także zajęła się swoją klientką.

Kelly poszła do znajdującego się na tyłach salonu magazynku i ukryła się w nim. Przyjrzała się sobie w lustrze, wiszącym obok półek z czystymi ręcznikami. Lustro był stare, przyciemnione i zniekształcało odbicie; wyglądała w nim na znacznie starszą, niż rzeczywiście była. Wyglądała w nim po prostu staro.

— Co się ze mną dzieje? — spytała głośno samą siebie.

Podniosła lewą rękę. Zgolone włosy odrastały szybko, gęste, sztywne i szorstkie. Poruszyła palcami. Wydały jej się niezwykle silne, zdolne do zmiżdżenia nie tylko dłoni Kevina, ale wszystkiego. Po prostu wszystkiego.

Na półce, obok ręczników, stał stary blaszany kubek, do którego co tydzień wrzucali po pięćdziesiąt pensów na herbatę i kawę. Wzięła go i ścisnęła w prawej ręce. Nic się jednak nie stało, nie dostrzegła nawet najmniejszego wgłębienia. Przełożyła kubek do lewej ręki — i z łatwością zgniotła go tak, że niemal zgiął się na pół.

Odłożyła kubek na półkę. Drżała na całym ciele.

55

Oparła się o ścianę i powtórzyła szeptem: „Co się ze mną dzieje?”. W tym momencie do schowka zajrzała Susan.

— Nic ci nie jest, Kelly? Wyglądałaś tak żałośnie. Może chcesz wrócić do domu?

— Nie, nie, nic mi nie jest. Czuję się świetnie. Daj mi minutkę albo dwie, zaraz do was przyjdę.

Kiedy Susan odeszła, Kelly podniosła słuchawkę telefonu i wykreciła numer komórki Neda.

— Ned McGee — usłyszała. — W czym mogę pomóc?

— To ja, Kelly. I rzeczywiście potrzebuję twojej pomocy.

— Coś się stało? Masz taki dziwny głos. Kelly rozplakała się.

— Pomóż mi, Ned, proszę! Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Błagam, przyjedź i sprawdź tę piwnicę. Jestem pewna, że coś się w niej ukrywa. Nie wiem co, ale wiem, że mnie zmienia.

Nie jestem już taka jak przedtem. Na nadgarstku rosną mi włosy, zgniotłam blaszany kubek, położyłam Kevina na rękę i... nie wiem, co robić!

— Zgniotłaś kubek? Położyłaś kogoś na rękę? Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Chodzi o moją rękę, Ned. Robi różne rzeczy, a ja wcale nie chcę, żeby je robiła.

— Nie denerwuj się. Przyjadę do ciebie najszybciej, jak to będzie możliwe. W tej chwili jestem w Lbcbridge, ale powinienem wrócić około szóstej.

— To dobrze. Bardzo się cieszę. Zamkniemy salon trochę wcześniej, bo Simon gdzieś

pojechał. Przyjedziesz, prawda?

— Oczywiście, że przyjadę. Obiecuję. I proszę, nie wpadaj w panikę. Nie histeryzuj. Sprawdzę piwnicę, masz moje słowo. Jeśli coś tam jest, znajdę to coś i wyrzucę. Daję słowo.

— Dziękuję.

Kelly wytarła mokre policzki i odłożyła słuchawkę. Przeszło minutę zajęło jej doprowadzanie się do porządku. Wydmuchała nos, osuszyła łzy, odetchnęła głęboko i kiedy się trochę uspokoiła, wróciła do salonu.

— Ktoś ma ochotę na kawę? — spytała. — Pani Bartlett? Pani pije herbatę, prawda?

ROZDZIAŁ 6

Susan pakowała swoje nożyce i grzebienie.

— Nie wpadłabyś do mnie dziś wieczorem? — zapytała. — Mama marzy o tym, żeby znów cię zobaczyć, a na obiad będą pulpety. Ach, te pulpety mamusi... Zawsze zjadam o trzy za dużo.

Kelly potrząsnęła głową.

— Dziękuję za zaproszenie, ale muszę zostać trochę dłużej i dokładnie sprzątnąć salon. Poza tym ma po mnie przyjechać Ned.

— Wygląda na to, że ten chłopak bardzo ci się podoba. Kelly zaczerwieniła się. Na szczęście uwagę Susan

odwrócił wychodzący z salonu Kevin, który pomachał im od drzwi.

— Dobranoc, Żelazna Rączko! — krzyknął wesoło.

— Dobranoc, Kev — odparła Kelly. — Przykro mi z powodu twojej ręki. Jeszcze raz przepraszam.

— Spokojnie, czym tu się martwić? I tak nigdy nie marzyłem o karierze pianisty.

Kiedy wszyscy wyszli, Kelly usiadła na jednym z foteli fryzjerskich i kilka razy obróciła się dookoła. Była spięta

58

i zdenerwowana. Włożyła do odtwarzacza płytę Spice Girls, a gdy z głośników w salonie popłynęły dźwięki muzyki, zaczęła tańczyć, obserwując siebie w lustrze. Wyobrażała sobie, że stoi na scenie stadionu Wembley przed tysiącami wrzeszczących histerycznie fanów.

Zrobiła kilka kroków w lewo, potem kilka kroków w prawo, obróciła się i nagle zobaczyła, że ktoś zagląda do salonu przez okno — była to jakaś zgarbiona postać w czarnym płaszczu z podniesionym kołnierzem i wielkim czarnym kapeluszu. Postać o najbledszej z białych twarzy, o uśmiechu jak szczelina w gipsowej ścianie. Kelly znieruchomiała, omal nie tracąc przy tym równowagi. Dziwaczna postać uśmiechnęła się jeszcze szerzej i powoli odeszła ulicą, kołysząc się na boki. Oczywiście był to tylko bezdomny, pojawiający się tu co wieczór, ale odprowadzając go wzrokiem, Kelly czuła, jak ze strachu jeżą jej się włosy na głowie. Jeszcze przez chwilę słuchała muzyki, lecz niespodziewane pojawienie się starego nędzarza sprawiło, że przypomniała sobie o drzwiach do piwnicy — i już nie potrafiła oderwać od nich wzroku. Zdawała sobie sprawę, że są zamknięte, sama przekręciła przecież klucz w zamku, ale po tym, czego doświadczyła, doskonale wiedziała, że w każdej chwili coś się może zdarzyć. A jeśli panna Paleforth miała rację, tam, między torbami włosów, znajdowało się coś bardzo, bardzo złego.

Nagle wydało jej się, że słyszy dobiegające z piwnicy stukanie i jakiś dziwny łomot.

Natychmiast wyłączyła muzykę i nadstawiła uszu, ale niepokojące dźwięki już się nie powtórzyły. Nie — postanowiła — nie zajrzy do piwnicy, nie sprawdzi, co się tam dzieje, poczeka z tym do przyjazdu Neda.

W ciągu dnia dwukrotnie schodziła na dół, wynosząc śmieci, i za każdym razem uciekała po schodach najszybciej, jak potrafiła. Nie słyszała jednak niczego. Żadnych szmerów, szelestów, szeptów, żadnych dziwnych i obrzydliwych dźwięków. Nie ma mowy, pomyślała, nie będę teraz zaglądać do środka, nie będę sprawdzać, co się tam dzieje. Niech się tym zajmie Ned.

Wciąż nasłuchiwała ze strachem, gdy nagle dzwonek przy drzwiach zadźwięczał tak przeraźliwie, że aż podskoczyła. Otworzyła tylne drzwi zakładu. Ku swej wielkiej uldze ujrziała szeroko uśmiechniętego Neda w brązowej skórzanej kurtce.

— Hej, jak się masz — powiedział, całując ją w policzek. — Przyjechałem najszybciej, jak się dało. Wiesz, o tej porze są straszne korki. — Ujął rękę Kelly i uścisnął ją. — Nic ci nie jest? — zapytał z troską. — Nie wyglądasz za dobrze...

— Teraz, kiedy już tu jesteś, czuję się znacznie lepiej. Ned wszedł do salonu i rozejrzał się.

— Niezłe miejsce pracy — zauważył.

— Byłoby niezłe, gdyby nie to. — Gestem głowy Kelly wskazała wejście do piwnicy. Kiedy

Ned podszedł do drzwi i poruszył klamką, wyjaśniła: — Zamknęłam je. Nie wiem, czy tam ktoś jest, czy nie, ale nie miałam zamiaru ryzykować, dopóki byłam sama.

Opowiedziała mu o rozmowie z panną Paleforth i o jej teorii „szatańskich włosów”.

— Nie przejmowałbym się takim gadaniem — mruknął Ned. — Ta twoja panna Paleforth wygląda mi na kogoś, kto tylko marzy o tym, żeby cię nawrócić.

— Może, ale w każdym razie udało jej się mnie przestraszyć. Naprawdę. Była bardzo przekonująca.

Ned zauważył wymalowany na drzwiach odwrócony krzyż. Przesunął po nim palcami.

— Dziwne... — mruknął. — Takich rzeczy nie widuje się na ogół w salonach fryzjerskich.

To ankh.

— Co?

— Ankh. Egipski symbol szczęścia. Wiem to od siostry, która nosi taki wisiołek. Pozuje na hipiszkę, rozumiesz? Pokój, miłość, kadzidełka, tego rodzaju rzeczy. Tylko że tutaj ten symbol namalowano do góry nogami. Ciekawe, co to może znaczyć?

— Może jest symbolem pecha? — podsunęła Kelly.

— Miejmy nadzieję, że nie. Ale nie zaszkodzi przyjrzeć się tej waszej piwnicy. Jeśli ktoś tam jest, z pewnością go znajdziemy.

Kelly mocno złapała go za rękę.

— Ned... a może nie powinniśmy tego robić?

— Oczywiście, że powinniśmy. Musisz stawić czoło temu, czego się boisz. No i pomyśl logicznie: czy w piwnicy może kryć się coś, czego warto się bać? W najgorszym razie to coś okaże się biednym starym włóczęgą, szukającym jakiegoś schronienia.

— No dobrze. — Kelly przekręciła klucz w zamku prowadzących do piwnicy drzwi. —

Włącznik światła masz po prawej stronie... tak, właśnie tam, tylko trochę wyżej.

Ned zapalił światło. Zajrzał w głąb piwnicy i teatralnym gestem przystawił dłonie do uszu.

— Nic nie widzę, nic nie słyszę. — Pociągnął nosem. — Czuję tylko jakiś dziwny zapach, ale to chyba nic groźnego.

Zszedł po schodach. Kelly zawahała się, po chwili jednak ostrożnie zeszła za nim.

60

— Hej! — zawołał chłopak. — Jest tu ktoś? Słuchaj, kimkolwiek jesteś, nie chcemy zrobić ci krzywdy. Porozmawiajmy, dobrze?

Nikt mu nie odpowiedział. Słyszeli tylko stłumione odgłosy ruchu ulicznego, kroki przechadzających się alejką ludzi i kapanie wody z nieszczelnej rury.

Ned trącił stopą jedną z plastikowych toreb.

— To do nich pakujecie śmieci z salonu? — spytał.

— Tak. Śmieciarze przyjeżdżają we wtorki i czwartki rano. Nie możemy wystawiać toreb na zewnątrz, bo koty pani Marshall rozdzierają je i potem wszędzie jest pełno włosów. A to zagrożenie dla zdrowia.

Ned podszedł do rzędu toreb i szturchnął jedną z nich palcem.

— O ile dobrze pamiętam, mówiłaś, że kiedy zeszłaś na dół, jedna z nich pękła i włosy fruwały po całej piwnicy. Nie mylę się?

— Nie, nie mylisz — odparła Kelly. — Omal się w nich nie udusiłam.

Chłopak wyteżył wzrok, starając się dojrzeć, co kryje się w głębi piwnicy.

— Jak myślisz, czy ktoś mógłby się schować gdzieś tutaj w jakimś zakamarku?

— Nie wiem. Ale chyba nie.

— Chodzi mi o to, że tu nie ma zapachu jedzenia, starych gazet czy śmieci. Gdyby ktoś tu mieszkał, chyba potrafilibyśmy go wyczuć.

Wyjął scyzoryk i rozciął jedną z toreb, leżącą na wierzchu stosu, a więc wrzuconą tu niedawno. Wysypały się z niej włosy we wszelkich możliwych kolorach. Wsunął w nie rękę i przegarnął je palcami.

- Ile ich tu jest... — mruknął w zamyśleniu. —

Kiedyś były pewnie powodem do dumy, a dziś są tylko odpadkami. Kelly skrzywiła się.

— Czasem trudno mi to znieść — powiedziała. — W domu, wieczorem, miewam niekiedy wrażenie, że nie mogę oddychać. Że wypełniają mi płuca.

— Och, daj spokój, dziewczyno. Włosy to tylko włosy, nic więcej. — Ned szturchnął kolejną torbę, a potem następną. Choć nasłuchiwali bardzo uważnie, nie usłyszeli szeptów, które przypominałyby obsceniczne francuskie nonsensy.

Ned wlaźł na stos toreb i pełznąąc na czworakach, dotarł do tylnej ściany piwnicy, do pogrążonego w mroku wgłębienia. Spojrzał w ciemność, obrócił głowę w prawo i w lewo. Kelly stała na najniższym schodku, kurczowo trzymając się poręczy.

— Chyba nic tu nie ma! — krzyknął do niej. — W każdym razie nie widzę nic oprócz kilku połamanych krzeseł i jakiś starych suszarek. Jednego jestem pewien: nikt tu nie mieszka. — Zawrócił i ostrożnie zszedł z wypełnionych śmieciami toreb. — Nie wiem, co usłyszałaś albo raczej wydawało ci się, że usłyszałaś, ale z pewnością w tej piwnicy nie czai się na ciebie nic groźnego.

— Nic mi się nie wydawało — zaprotestowała Kelly. — Coś się tu kryło. Ktoś tu się krył. Słyszałam szepty i śmiechy. Jeśli mi nie wierzysz, popatrz na moją rękę!

— Wierzę ci, skarbie. Ale umysł czasami płata człowiekowi dziwne figle. Naprawdę, to żadna tajemnica. Zimą, kiedy po zmroku wracałem ze szkoły do domu, byłem pewien, że śledzi mnie potwór z cieni. Szedłem coraz szybciej, w końcu zaczynałem biec i do domu wpadałem

niemal

nieprzytomny

z

przerażenia,

ku

z dumieniu mamy, nie rozumiejącej, co się ze mną dzieje. Ale ja rozumiałem aż za dobrze.

Dla mnie potwór z cieni był czymś całkowicie realnym, najprawdziwszym w świecie.

Byłem pewien, że któregoś dnia dopadnie mnie wreszcie, porwie, zanieśie do swojej jamy...

— Przestań! Wcale mnie to nie uspokaja — jęknęła Kelly i rozejrzała się nerwowo po piwnicy.

— Przepraszam. Ale wiesz, nie sądzę, byśmy tu cokolwiek znaleźli. To po prostu zwykła piwnica, nic więcej.

Kelly zaczęła wchodzić po schodach. Gdy tylko odwróciła się do piwnicy plecami, usłyszała znajomy cichy szelest. Obejrzała się. Włosy z przeciętej przez Neda torby spływały po plastiku na podłogę. Nie była to jednak zwykła kaskada włosów. Szczepiły się ze sobą w jakiś sposób, formując kształt węża, drugiego kosmatego pytona, którego końca nie było widać.

— Ned — szepnęła przerażona Kelly. — Spójrz... co to?

Włosy nadal wysypywały się na podłogę. Stwór, którego kształt przybrały, wytworzył łeb i podniósł go jak wąż. Kiedy sięgnął cementowej podłogi piwnicy, przepłynął po niej z błyskawiczną szybkością, kierując się wprost na schody. Łbem owinał się wokół poręczy, a jego wielkie cielsko wciąż formowało się z sypiących się z toreb włosów. Miało już dobre dziesięć metrów i nadal rosło.

Przez przerażający ułamek sekundy gapili się na włochatego stwora w osłupieniu, a on tymczasem zdołał wspiąć się na kolejne dwa stopnie. Cały czas syczał cicho i groźnie, a jego syk przypominał syczenie wydobywającej się przez cienką szczelinę pary.

— Co to jest?! — krzyknęła w panice Kelly. — Ned, co to jest?!

Ale on nie odpowiedział, pchnął ją tylko z całej siły i zmusił do pokonania reszty schodów. W końcu oboje dotarli do drzwi, oddzielających piwnicę od salonu.

— Uciekaj! — krzyknął chłopak. — Wynośmy się stąd, ale już!

Wpadli do salonu, Kelly pierwsza, Ned tuż za nią. Ned odwrócił się szybko, by zamknąć drzwi, ale w tym momencie wypełzający z piwnicy wąż podniósł łeb i zaatakował.

Uformował już wąski, przerażający pysk i kły jadowe, stworzone ze splecionych ciasno ludzkich włosów i wyglądające jak zęby jadowe prawdziwej żmii. Kelly pchnęła Neda i stwór chybił go o parę centymetrów, ale natychmiast cofnął się i przygotował do kolejnego ataku.

Kelly chwyciła stojącą przy fotelu Simona szczotkę i walnęła nią wężowego stwora, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Jego ciało było spoiste i twarde jak ciało prawdziwego węża; po każdym kolejnym ciosie atakowało wściekle, uderzając głową i wysuwając z pyska wężowy, rozdwojony język.

— Kelly! — krzyknął Ned. — Uderz go! Teraz! Dziewczyna znów uderzyła węża, był już jednak tak

spoisty i twardy, że siła ciosu wytrąciła jej z ręki szczotkę, która z trzaskiem upadła na podłogę.

— Nie ruszaj się! I bądź cicho. Niech nas nie słyszy.

— Co? — wysapała Kelly, z trudem łapiąc powietrze. Kosmaty wąż powoli wzniosł łeb w powietrze, wprost

nad jej głową. Kiwał nią na boki, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie uderzyć. Kelly stała nieruchomo, wstrzymując oddech. Łeb węża poruszał się niebezpiecznie

blisko jej twarzy. Chciała cofnąć się przed nim, lecz Ned skinieniem dłoni kazał jej znieruchomieć; musiała zmobilizować całą siłę woli, by zastosować się do jego polecenia.

Mijały kolejne długie sekundy, które wydawały się im godzinami. Nagle, bez ostrzeżenia, wąż gwałtownie rzucił łbem z boku na bok. Kelly krzyknęła i odskakując do tyłu, potknęła się o fotel na stanowisku Simona. Potwór cofnął uniesiony łeb, gotów do ataku.

— Ned! — krzyknęła Kelly, rozpaczliwie próbując odzyskać równowagę.

Wąż zaatakował, lecz w tym momencie chłopak skoczył przed siebie i — niczym zawodowy gracz w rugby, zatrzymujący przeciwnika — mocno uderzył ramieniem w półotwarte drzwi do piwnicy, by je zatrzaskać. Zamykając się, drzwi do piwnicy odcięły łeb stwora, zamieniając go w to, z czego powstał: kilka kosmyków ludzkich włosów.

Kelly wstała chwiejnie; nogi się pod nią uginały. Ned podszedł i podtrzymał ją, żeby się nie

przewróciła.

— Już po wszystkim — powiedział uspokajająco. — Nie żyje, czymkolwiek był.

Mimo to podszli do rozrzuconych na podłodze włosów bardzo ostrożnie. Kelly bała się, że lada chwila zbiorą się jakoś i znowu przyjmą kształt wężowej głowy, gotowej do ataku. Kiedy jednak Ned kopnął je z pogardą, rozleciały się na wszystkie strony.

— Widziałaś to, co ja? — spytał ze zdumieniem. — Węża? Oboje go widzieliśmy, prawda? Ale przecież to były włosy. Tylko włosy, nic więcej.

— Nie wierzyłam własnym oczom. Zaatakował nas tak błyskawicznie i był taki silny...

Ned przyglądał czuprynę.

66

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem — przyznał niechętnie. — Czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

— Ciekawe, co się stało z cielskiem tego węża. Myślisz, że nadal jest tam za drzwiami? Mam nadzieję, że nie jest jak glista... no wiesz, kiedy przetnie się ją na pół, obie połówki zaczynają żyć własnym życiem.

— Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać — mruknął Ned, po czym podszedł do prowadzących do piwnicy drzwi i położył dłoń na klamce.

— Nie! — krzyknęła Kelly. — Nie, proszę! Boję się!

— Kelly, posłuchaj mnie. Spokojnie. Tu, u was, w Siz-zuz, dzieje się coś dziwnego. Coś, co cię śmiertelnie wystraszyło. Co masz zamiar zrobić? Chcesz bać się ciągle i uciekać? Rzucić pracę?

— Widziałeś tego węża na własne oczy. Ja też.

— Oczywiście, widziałem go. Przyznaję, że to było dziwne, nawet bardzo dziwne, ale musi przecież istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie. Nie wierzę w duchy, wilkołaki i węże z ludzkich

włosów. No, prawdę mówiąc, co do tych węży nie jestem taki pewien, ale to z pewnością jakaś sztuczka, no wiesz, jak z tymi hinduskimi tańcami kobr albo sztywniejącymi sznurami...

Kelly nie spuszczała oczu z drzwi. Przygryzła wargi.

— Rób, co chcesz — powiedziała niepewnie. — Ale ja pozostanę tu, gdzie jestem. Przy umywalkach.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparł Ned i powoli przekręcił klamkę.

Uchylił drzwi zaledwie na kilka centymetrów, jakby obawiał się, że ciągle czyha za nimi włochoaty wąż, w każdej chwili gotów do ataku. Ale nic się nie stało, więc otworzył je odrobinę szerzej. I jeszcze odrobinę. Nic. W końcu pchnął drzwi, aż otworzyły się na oścież.

67

Nic się nie stało. Na schodach nie dostrzegli ani jednego włoska. Wąż znikł równie błyskawicznie, jak się pojawił. Ned osłonił oczy przed oświetlającym piwnicę światłem nagiej żarówki i spojrzał w dół schodów. Wyprostowanym kciukiem prawej dłoni zasygnalizował, że wszystko jest w porządku.

— Nic nie widzę — oznajmił. — I w dodatku włosy są znowu w torbach.

Kelly uznała, że musi zobaczyć to na własne oczy. Podeszła bliżej i zajrzała do piwnicy.

Rzeczywiście, włosy zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Nic dziwnego, że wczoraj wieczorem Simon pochwalił ją, że wysprzątała piwnicę do czysta. Włosy, wymiatane z jego salonu, żyły własnym życiem. No właśnie, żyły! Same chowały się w torbach, gdy tylko uznały to za konieczne.

— I co teraz? — spytała Neda.

— Chodźmy się czegoś napić — odparł.

— Ale... ale przecież musimy komuś o tym wszystkim opowiedzieć! Przede wszystkim Simonowi, a może nawet policji? Omal nie zginęliśmy.

— I co powiedziała byś policji? Pomyśleliby, że robisz sobie z nich żarty. Zastanów się tylko, czy sama uwierzyła byś komuś, kto próbowałby cię przekonać, że ścigał go wąż z włosów, obciętych ludziom u fryzjera?

— Chyba nie. A co z Simonem?

— Nie mam pojęcia. Moim zdaniem najlepiej będzie nic nikomu nie mówić, przynajmniej dopóty, dopóki nie dowiemy się, o co tu naprawdę chodzi. Nie chcesz chyba, żebyśmy zrobili z siebie kompletnych idiotów?

— Nie. Ale jestem pewna, że Simon mógłby nam pomóc.

— Być może masz rację. Powinnaś jednak najpierw zadać sobie pytanie, kto wymalował na drzwiach znak ankh i dlaczego.

— Nie wiem, ale... Ned uniósł palec do ust.

— Proponuję, żeby na razie zachować to, co się zdarzyło, w tajemnicy. Jak mawiał mój dziadek: „Chwila milczenia oszczędza lat kłopotów”.

— Dlaczego lat? O co mu chodziło?

— Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale uważam, że sami sobie zrobimy przysługę, jeśli fakt istnienia węża zachowamy dla siebie. Przynajmniej na razie.

68

ROZDZIAŁ 7

Tej nocy Kelly śniło się, że jest w Egipcie. Otaczały ją białe budynki, tak błyszczące w słońcu, że patrząc na nie, musiała mrużyć oczy. Słyszała dźwięki fletni Pana i monotonne „łup, łup, łup” wielkiego bębna.

Wyszła z mroku na oświetlony jasnymi promieniami słońca plac, pośrodku którego siedział po turecku mężczyzna w fezie i białym burnusie, a właściwie nie siedział — przynajmniej nie na ziemi. Unosił się nad nią jakieś pięć, może dziesięć centymetrów.

— Saalam — powiedział, uśmiechając się do niej tajemniczo, a potem powrócił do gry na fletni, wygrywając na niej niezwykłą melodię, mówiącą o gorących nocach na pustyni, o wiszących tuż nad głową gwiazdach, tworzących tajemnicze konstelacje, o żegludze w dół Nilu, o lekkich, półprzeźroczystych sukniach i groźnym spojrzeniu Sfinksa, który wyglądał, jakby wybierał chwilę, w której ją zaatakuje.

Nagle wieko stojącego przed mężczyzną wiklinowego koszyka odskoczyło i upadło na ziemię. Ze środka wysunęła się kobra, ale kiedy Kelly przyjrzała się jej bliżej, zobaczyła, że to wcale nie kobra, a tylko naśladowująca jej kształt i ruchy ludzka ręka.

Wydało się jej, że wrosła w ziemię. Nie miała siły się poruszyć, nie była w stanie uciekać.

Wąskie uliczki suku, arabskiego bazaru, na którym się znajdowała, tworzyły prawdziwy labirynt i wiedziała, że sama nigdy się stąd nie wydostanie. Stojąc bez ruchu, jak sparaliżowana, przyglądała się ludzkiej dłoni wypełzającej z koszyka, blademu ludzkiemu ramieniu, długiemu niczym wąż, a może jeszcze dłuższemu, pełznącemu ku niej po kamieniach i wznoszącemu się groźnie.

Nie mogę się poruszyć, pomyślała w panice. Nie zdołam się obronić. Boję się, powinnam krzyczeć i wzywać pomocy, ale nie mogę...

Ręka-kobra chwiała się przed jej oczami w hipnotyzującym rytmie. Kelly pochyliła się w lewo, a potem w prawo, powtarzając jej ruchy. Może gdyby się cofnęła, spróbowała ucieczki... ale nagle tajemniczy stwór rzucił się na nią i złapał ją za gardło.

Nie mogła krzyknąć, bo ręka-kobra tłumiła jej okrzyki. Chciała się cofnąć, lecz ręka-kobra trzymała ją zbyt mocno, wysysała z niej całą energię i zdolność działania. Kelly oddychała coraz szybciej; oddech wyrywał jej się ze zduszonego gardła z jękiem, przypominającym dźwięki fletni Pana. Nagle zobaczyła gwiazdy — krople jaskrawego światła i szkarłatne kręgi — i cały świat rozkołysał się jej przed oczami sinofioletową falą, jak namalowany akwarelą

ocean.

Gdybyż świat był jak weselny tort..., pomyślała. Tak zaczynał się dziecinny wierszyk, który jej matka recytowała swojej małej córeczce; przypomniała go sobie teraz,

70

71

właśnie teraz, gdy rozpaczliwie próbowała pomyśleć

o czymś pewnym, stałym, solidnym jak skała. Gdybyż morza były z atramentu...

Widziała już tylko ciemność, czerń wypełniała cały jej świat. Nie była w stanie oddychać i nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje.

A drzewa też Smakowały jak ser...

Otworzyła oczy. Nie, nie spała, była zupełnie przytomna. Nie była w Egipcie, leżała na łóżku w sypialni na Waverley Road i lewą ręką zaciskała sobie gardło tak mocno, że prawie się dusiła.

Próbowała krzyknąć, lecz nie była w stanie, z jej zduszonego gardła wydobywał się zaledwie cichy charkot. Chciała wstać, ale jej nogi zaplątały się w skopaną pościel.

I nadal lewą ręką dusiła samą siebie.

Kiedy zapaliło się światło, zmrużyła oślepione oczy.

— Kelly! Kelly! — W głosie Siobhan brzmiała panika. — Na miłość boską, co się z tobą dzieje?

Ale ona bezwiednie coraz mocniej i mocniej zaciskała dłoń na własnym gardle. Nie widziała już światła, nie widziała sypialni, przed oczami miała szkarłatną mgłę. Nagle poczuła, że Siobhan chwyta ją za ręce i przytrzymuje je z całej siły. Przesłaniająca pokój mgła rozplynęła się i przed oczami Kelly objawiła się niewyraźna, zamazana i przerażona twarz siostry, okolona potarganymi włosami.

— Obudź się, Kelly! To ja. Słyszysz, co mówię? Obudź się, błagam!

Kelly nieprzytomnie zamrugała oczami.

72

— Siobhan? To ty? Co się dzieje? Która godzina?

— Wpół do trzeciej w nocy. Krzyczałaś we śnie. Mój Boże, siostrzyczko, próbowałaś się udusić!

Kelly oparła się na łokciu. Leonardo di Caprio patrzył na nią ze ściany, zadowolony z siebie, wesoły, okrągłutki i szczęśliwy. Zdecydowanie nie pasował do sytuacji. Nie umywał się do Neda.

— Miałam jakieś koszmary — wymamrotała.

— Od czasu do czasu wszyscy miewamy koszmary, kochanie. Ale nie wszyscy próbujemy udusić się własnymi rękami.

Kelly spojrzała na swoją lewą dłoń. Wcale nie czuła, że należy do niej. Oczywiście rozpoznała srebrną, ozdobną obrączkę, którą dostała od babci, rozpoznała linie życia, serca i głowy, ale mimo to własna ręka wydawała się jej całkiem obca.

Odwróciła ją wnętrzem dłoni do dołu. Włosy na przegubie nie tylko urosły i stały się jeszcze sztywniejsze, lecz także zaczęły się splatać.

— Mam nadzieję, że wszystko już jest w porządku — powiedziała z westchnieniem Siobhan.

— Muszę wstać wcześniej rano.

Kelly rozkaszała się.

— Chyba tak — wykrztusiła po chwili. — Chciałabym tylko napić się wody, to wszystko.

Wstała i poszła powoli do łazienki. Z szafki na lekarstwa wyjęła należącą do ojca maszynkę do golenia. Spojrzała w lustro i aż się wzdrygnęła: miała bladą, zmęczoną twarz i wielkie sińce pod oczami. Posmarowała przegub mydłem, by zgolić włosy, ale nagle zawahała się.

Jakiś wewnętrzny głos, groźny i rozkazujący, powiedział jej, że nie powinna, że nie wolno jej tego zrobić.

73

Mimo to spróbowała, ale gdy tylko zbliżała maszynkę do skóry, jej dłonie rozdzielały się — wbrew jej woli.

Właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślała, że pewnie niedługo umrze.

Simon dał jej wolny poranek na wizytę na oddziale trychologii Middlesex Hospital.

Powiedziała mu, że jej matka nie czuje się najlepiej, więc ona musi zająć się młodszymi braćmi.

— Nie musisz się spieszyć — zapewnił ją. — Rodzina jest najważniejsza.

Słowa te sprawiły, że poczuła się winna z powodu tego kłamstwa.

Dzień był bardzo mroczny, we wszystkich szpitalnych salach i gabinetach paliło się światło.

Zaczął padać deszcz.

Kelly siedziała w poczekalni przeszło godzinę. Przerzucała stare numery magazynu

„Woman's Own”, przyglądała się przez okno wjeżdżającym i wyjeżdżającym karetkom.

Wreszcie wezwano ją do doktora Dipaka Patela.

Lekarz miał na nosie okulary o grubych szklach, ubrany był w koszulę w niebieskie paski i

roztaczał wokół siebie zapach mocnej miętowej gumy do żucia. Obejrzał jej rękę bardzo

uważnie, dokładnie przyjrzał się włosom rosnącym na grzbiecie nadgarstka, pociągnął chyba

za wszystkie, próbował nawet wyrwać kilka pęsetą, ale to mu się oczywiście nie udało.

— Niezwykłe, doprawdy niezwykłe — stwierdził w końcu. — Te włosy są różnej grubości i koloru, jakby należały do różnych ludzi.

— Mój lekarz powiedział, że można się ich pozbyć za pomocą elektrolizy.

— Cóż... Nie mogę powiedzieć pani nic wiążącego przed przeprowadzeniem wszystkich

koniecznych badań. Zazwyczaj ludzie mają jeden typ włosów pod względem koloru. Ciemne, blond albo rude... rozumie pani? Z wiekiem ich włosy przybierają różne odcienie siwizny. To, co widzę u pani, panno O'Sullivan, mogę określić tylko jednym słowem: „niezwykłe”. Pani włosy mają nie tylko różny kolor, lecz także grubość i budowę. Zechce pani przyjrzeć się im pod mikroskopem? Bardzo proszę. Oto pani włos z głowy, widzi pani? Nie pasuje do żadnego z tych, które rosną na ręce. Są inne, zupełnie jakbyśmy pobrali je od różnych, całkiem przypadkowych osób, na przykład z przystanku autobusowego.

— Więc... co się właściwie ze mną dzieje? — spytała przestraszona Kelly. — One wciąż rosną, panie doktorze, i nawet zaczynają się ze sobą splatać.

Doktor Patel uniósł dłonie w geście oznaczającym całkowitą bezradność.

— Bardzo mi przykro, panno O'Sullivan, muszę jednak przyznać, że nie wiem. Po raz pierwszy mam do czynienia z takim zjawiskiem. Musimy poczekać na wyniki badań wstępnych... w tej chwili jakakolwiek diagnoza byłaby przedwczesna.

— Rozumiem — odparła Kelly. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna jak teraz.

Doktor Patel ujął jej obie dłonie i spojrzał na nią współczująco.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy — zapewnił. — Ale nic więcej nie mogę obiecać.

75

Kelly poszła do Sizzuz tak przygnębiona jak nigdy przedtem. Nie zdołał jej rozśmieszyć nawet Kevin, naśladujący panią Bartlett. Co chwila oglądała się na drzwi piwnicy i wymalowany na nich odwrócony znak ankh.

Simon wrócił po lunchu. Był w wyjątkowo złym humorze.

— Ta kobieta z góry doprowadza mnie do szaleństwa! — krzyknął.

— Daj spokój — powiedział pojednawczo Kevin. — Z pewnością dojdziecie do jakiegoś porozumienia.

— Porozumienia? Przecież zaproponowałem jej już wszystko, co mogłem zaproponować.

Pieniądze. Nowe mieszkanie. Ba, nawet pokrycie kosztów przeprowadzki! I co? Zgodziła się?

Mowy nie ma. Jest nieugięta. „To moje mieszkanie, tu zostanę, ja i wszystkie moje śmierdzące koty”. Moim zdaniem cała ta sytuacja sprawia jej jakąś chorą przyjemność! Bawi ją, kiedy widzi mnie zebrzącego na kolanach!

— Wobec tego może powinniśmy znaleźć nową siedzibę? — zapytał nieco niepewnie Kevin.

— Jeśli tu nie możesz rozwinąć skrzydeł, znajdź miejsce, w którym to będzie możliwe.

Dlaczego nie spróbujesz?

— Dlaczego? Bo żaden stary babsztyl nie będzie mi mówił, co mam zrobić. Dlatego! Próbuję tu rozwinąć przyzwoity, duży interes! W dodatku bardzo potrzebny tej okolicy. Przecież wszyscy na nim zarobimy, nie tylko ja sam. Nie dopuszczę do tego, by cała moja kariera zawałiła się przez jedną wiedźmę i te jej parszywe kociska!

Musiał się jednak uspokoić, bo o drugiej przyszła jego klientka, pani Fellows, żona przewodniczącego lokalnego klubu rotarian. Rozmawiał z nią uprzejmie i miło się

76

uśmiechał, ale Kelly widziała, że w środku nadal aż gotuje się ze złości. Strzelił na nią palcami, by umyła pani Fellows włosy, i warknął na Susan, kiedy nieumyślnie zastąpiła mu drogę. Kevin spojrzał w niebo, jakby stamtąd oczekiwał pomocy.

Podczas pracy z panią Fellows Simon jakby trochę się rozluźnił. Plotkował i śmiał się naprawdę szczerze, a potem zdjął z ramion klientki ręcznik gestem toreadora i obrócił ją.

— Oto wschodząca gwiazda — oznajmił tryumfalnie.

— Straszny z ciebie komplementarz — stwierdziła pani Fellows, przyglądając swoje loki.

— Posprzątaj tu, Kelly, dobrze? — poprosił Simon. — I znieś śmieci na dół.

Posłusznie zmiotła z podłogi siwe, kręcone włosy ostatniej klientki i wrzuciła je do czarnej

plastikowej torby na śmieci, niemal pełnej po wczorajszych porządkach. Do tej pory unikała konieczności zejścia do piwnicy, ale teraz Simon ją obserwował i już nie mogła tego odwlekać. Przede wszystkim zapaliła światło. Po schodach schodziła ostrożnie, krok po kroku, zatrzymując się na każdym stopniu i nasłuchując uważnie.

W kącie, na stosie kartonów, leżała już jedna torba z włosami. Przyjrzała się jej uważnie, nie dostrzegła jednak nawet najmniejszego poruszenia. Ale gdy już wracała, nagle wydało jej się, że ktoś szepcze tuż za jej plecami, tak blisko, że na karku poczuła zimny oddech. Zamarła z ręką na poręczy i nadśluchiwała przerażona; brakowało jej odwagi, by się odwrócić. Słyszała jednak tylko muzykę, dobiegającą z góry, z salonu, i Kevina, śmiejącego się, jak zwykle, ze swoich własnych dowcipów.

77

Nie, nie, na pewno mi się wydawało, pomyślała. Wyobraziłam sobie to wszystko, od samego początku. Ale kiedy weszła na pierwszy stopień schodów, znów usłyszała ten głos i tym razem była przekonana, że to nie jest jej wyobraźnia.

— Beelzebub... l'un de plus grands malheurs... ilestoit froid comme la glace...

Głos był stłumiony, zdyszany, słowa brzmiały tak, jakby przechodziły przez gęstą flegmę.

Potem usłyszała bełkotliwy szept, z którego wyłowiła zaledwie pojedyncze słowa: le diable...
ii est reel.

Nie odwróciła się, nie śmiała, ale była pewna, że słyszy szum zsuwającej się powoli ze stosu kartonów torby włosów. Po jej plecach przebiegł dreszcz, a usta zupełnie wyschły ze strachu. Weszła na pierwszy schodek, potem na drugi, lecz im wyżej wchodziła, tym więcej stopni widziała przed sobą; miała przerażające wrażenie, że drzwi do salonu ciągle się od niej oddalają.

— Beelzebub... aussi vilain est abominable est au sorcier d'y aller de son pied àue d'y entre

transporte de son consentement par de diable...

I znów szepty, znów ten ohydny bełkot, tylko że tym razem szeptał i bełkotał już nie pojedynczy głos, ale cały chór głosów, dobiegających ze wszystkich stron. Czowała też coś jakby palce, chwytające ją za rękawy. Nie wątpiła, że stoi za nią coś wielkiego i ohydneho, brakowało jej jednak odwagi, by się odwrócić i zobaczyć, co to takiego.

Próbowała iść po schodach szybciej, ale prowadzące do salonu drzwi nadal się od niej oddalały; zupełnie jakby biegła pod górę po zjeżdżających szybko ruchomych schodach. Wydawały się coraz mniejsze i mniejsze, a w dodatku oświetlająca piwnicę żarówka zaczęła migotać i stopniowo przygasać. Kelly uświadomiła sobie, że jeśli nie wydostanie się stąd teraz, zaraz, pochłonie ją ciemność i sama będzie musiała stawić czoło temu czemuś, co opanowało piwnicę renomowanego salonu fryzjerskiego Sizzuz.

— Beelzebub... — szepnęło coś i zaśmiało się szaleńczo. Kelly rozplakała się. Zatrzymała się, nie była w stanie wspinać się dalej. Stała nieruchomo na schodach z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając.

— Co się stało, Kelly? — spytał nagle jakiś głos, odbijający się od ścian piwnicy cichym echem i sprawiający wrażenie, jakby dobiegał z odległości milionów kilometrów.

Dziewczyna mocniej zacisnęła powieki, mocniej chwyciła się poręczy schodów.

— Co się stało, Kelly?

Powoli, bardzo powoli otworzyła oczy. U szczytu schodów stał Simon, przyglądając jej się z troską.

— Co się stało? — powtórzył. — Zniknęłaś na tak długo, że postanowiłem sprawdzić, co się z tobą dzieje. Hej, czy mi się zdaje, czy płakałaś?

— Nic mi nie jest. — Kelly przetarła oczy palcami. — Kiepsko ostatnio sypiam, to dlatego.

— Spróbuj wypić gorącą czekoladę tuż przed pójściem do łóżka. Trzy kostki cukru. Skutek

gwarantowany.

Kelly zamknęła za sobą drzwi do piwnicy.

Przecież mogę mu o wszystkim powiedzieć, pomyślała. Dlaczego nie opowiesz mi, co wczoraj wieczorem widzieliście tu na dole, ty i Ned? Wiesz, że zrozumie.

Przypomniała sobie jednak radę dziadka przyjaciela i nic nie powiedziała.

79

Po kolacji zadzwoniła do Neda, lecz jego matka poinformowała ją, że nie ma go w domu. A

Kelly tak bardzo chciała opowiedzieć mu o tym, co słyszała, zwłaszcza o imieniu Beelzebub.

Kiedyś z pewnością je słyszała, ale O'Sullivanowie nie mieli w domu encyklopedii, nie mogła więc sprawdzić, co tak naprawdę oznacza, a Ned z pewnością znalazłby coś w Internecie.

Już miała odłożyć słuchawkę i pójść pooglądać telewizję, kiedy z jej notesu wypadła lista

zakupów z zapisanym na niej numerem telefonu panny Paleforth. Wahała się przez chwilę,

ale w końcu do niej zadzwoniła. Przez chwilę słuchała powtarzającego się raz za razem

sygnału. Pomyślała, że dziś nie uda jej się z nikim porozmawiać.

Już miała odłożyć słuchawkę, gdy nagle usłyszała:

— Tak? Kelly, to ty, prawda?

— Skąd pani wiedziała?

— Zawsze wiem, kto do mnie dzwoni. Zawsze. Każdy sygnał jest inny, wiesz? Mówi mi o tym, czy to ważna sprawa, czy nie. Ty masz ważną sprawę, ale wcale nie byłaś pewna, czy chcesz ze mną rozmawiać. Dlatego tak długo nie podnosiłam słuchawki. Czekałam, co postanowisz.

Kelly odetchnęła głęboko.

— Chodzi o to, co mi pani powiedziała... o tych szatańskich włosach. Bardzo chciałabym się z panią spotkać. Czy to możliwe?

— Jest coraz gorzej, prawda?

— Tak. — Kelly nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Rozplakała się.

— Dobrze. Przyjdź do mnie natychmiast. Nie zatrzymuj się i nie rozmawiaj z nikim, ani z ojcem, ani z matką, ani z najlepszą przyjaciółką. Niech Bóg będzie z tobą, Kelly. Bardzo Go teraz potrzebujesz.

ROZDZIAŁ 8

Panna Paleforth zajmowała połowę niedużego domu bliźniaka przy samym końcu wąskiej podmiejskiej uliczki; za nim biegły tory kolejowe. Z zewnątrz budynek sprawiał wrażenie, jakby od lat nikt w nim nie mieszkał. Furtka wisiała na krzywych, obluzowanych zawiasach, w ogrodzie pieniały się pożółkłe chwasty. Jasnobrązowa farba, którą kiedyś pomalowano dom, spłowiała do bladej szarości. We frontowych oknach wisiały zniszczone firanki, a jedyną oznaką życia były dwie butelki świeżego mleka oraz siedzący obok nich zezowaty pręgowany kocur.

Na drzwiach wisiała mosiężna kołatka, przedstawiająca pysk szpetnie wykrzywionego goblina. Kelly zastukała nią trzykrotnie. Czekala, a kot ocierał się o jej kostki i miauczał.

„Cześć, koteczku” — powiedziała i pochyliła się, by go pogłaskać, ale zwierzę spojrzało na nią złym okiem i parsknęło ostrzegawczo. Zupełnie jak Isabel pani Marshall, pomyślała.

Drzwi otworzyły się wreszcie. Stała w nich panna Paleforth w chuście na głowie, czerwonej aksamitnej sukni i czarnym szalu ozdobionym koralami.

81

— Wejdź — powiedziała, obejmując Kelly i przytulając ją. Zanim zamknęła drzwi, spojrzała w górę i w dół uliczki, jakby chciała się upewnić, że nikt ich nie obserwuje.

W środku domu panny Paleforth panował mrok i pachniało kadzidłem, ale było w nim przynajmniej ciepło. Wszędzie walały się jakieś śmieci: w holu stał stary rower, niedbale

oparty o ścianę obok stojaka na parasole w kształcie nogi słonia, kilkanaście par pantofli i półbutów oraz akordeon i sztalugi.

— Musisz wybaczyć mi ten nieporządek — usprawiedliwiała się panna Paleforth, unosząc rąbek sukni przy przechodzeniu przez stos starych książek. — Doprawdy nie wiem, po co trzymam to wszystko, ale różne starocie gromadzą się wokół mnie jak śmieci, wyrzucane na brzeg falą przypląwu.

Poprowadziła Kelly do kuchni, w której królował buzujący ogniem antyczny piec na węgiel. Była zagracona jeszcze bardziej niż przedpokój. Przy ścianie naprzeciw wejścia stała sosnowa szafa, na której piętrzyły się porcelanowe talerze, kubki i słoiki, udekorowane zwieszającymi się w każdym wolnym miejscu roślinami. Pośrodku stał wielki sosnowy stół, niemal całkowicie zastawiony kolejną porcją słoików, w doskonałej symbiozie z wiązkami suszonych ziół, suszonymi skórkami pomarańczy i jakimiś pomarszczonymi korzeniami.

— Usiądź — zaproponowała panna Paleforth, podsuwając Kelly masywne sosnowe krzesło.

— Masz może ochotę na filiżankę herbaty St John's Worth? Odpręża, pomaga oczyścić umysł i podobno ma także inne właściwości. W średniowieczu nazywano ją „lotem szatana”.

— Nie, nie, bardzo dziękuję za herbatę — odparła

82

Kelly, przyglądając się tym wszystkim ziołom i przyprawom, zgromadzonym przez pannę Paleforth, i żałując, że w ogóle zdecydowała się ją odwiedzić.

Panna Paleforth usiadła obok niej i ujęła jej rękę w obie swoje dłonie, po czym spojrzała głęboko w oczy, z wyraźnie widocznym napięciem.

— Podjęłaś właściwą decyzję.

— Przepraszam, nie rozumiem...

— Postanowiłaś przyjść tu, zobaczyć się ze mną. To była właściwa decyzja. Nie mogłaś

zrobić nic lepszego. Och, oczywiście, odwiedzaj sobie wszystkich lekarzy świata, ale żaden z nich ci nie pomoże. Nie pomoże ci elektroliza, nie pomoże chirurgia, nie pomoże radioterapia. Fizycznie jesteś zdrowa, nie na tym polega twój problem. Twój problem to spotkanie ze złem. Kelly podciągnęła rękaw i pokazała gospodyni, jak długie są włosy, które wyrosły na jej nadgarstku, i jak się ze sobą splatają. Panna Paleforth dotknęła ich delikatnie i próbowała je rozdzielić.

— Co powiedzieli lekarze? — spytała.

— W Middlesex Hospital przeprowadzą badania.

— Więc nie wiedzą, na co chorujesz?

— Nie. Nigdy nie widzieli podobnego przypadku.

— Byłaś w szpitalu, wysłuchałaś lekarzy. Dlaczego tak nagle postanowiłaś mnie odwiedzić?

Kelly odetchnęła głęboko.

— Coś się zdarzyło... wczoraj wieczorem, w piwnicy pod salonem. Byłam tam z moim przyjacielem Nedom... chcieliśmy sprawdzić, czy nie mamy dzikiego lokatora...

— I nie znaleźliście żadnego dzikiego lokatora, prawda?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

83

— Ale coś znaleźliście?

— Owszem. — Przez ściśnięte gardło Kelly z trudem wykrztusiła to jedno słowo, ale w końcu udało jej się opowiedzieć o ścigającym ich po schodach wężu i o tym, jak mu umknęli. Panna Paleforth wysłuchiwała jej uważnie, nie przerywając, tylko przez cały czas opowieści delikatnie pociągała za włosy, wyrastające z przegubu dłoni jej gościa. Wreszcie, kiedy Kelly skończyła mówić, powiedziała:

— Byłam lekarzem, wiesz? Na Martynice i Karaibach. Byłam wówczas... och, oczywiście

byłam wówczas znacznie młodsza. To było bardzo, bardzo dawno temu.

— Przecież pani wcale nie jest stara! Panna Paleforth uśmiechnęła się lekko.

— Miło mi to słyszeć, ale jestem znacznie starsza, niż wyglądam. Podczas pobytu na Martynice zajmowałam się medycyną alternatywną: ziołami, egzotycznymi roślinami, leczniczymi walorami właściwego odżywiania. Szczególnie interesowało mnie działanie siły umysłu w leczeniu ciała. I możesz mi wierzyć, dużo się na ten temat dowiedziałam. Musisz jednak zrozumieć, że umysł potrafi nie tylko leczyć ciało, lecz także sprawić, by rozwinęła się w nim choroba. Dobro potrafi leczyć, a zło jest czymś w rodzaju infekcji.

Zamilkła na chwilę, nadal jednak głaskała i delikatnie pociągała włosy na ręce Kelly.

— Kiedy się pojawiły? — spytała.

— Zaledwie dwa, trzy dni temu. To zwykłe, normalne włosy, zmiecione z podłogi naszego salonu, ale przyczepiły się jakoś do mnie i rosną.

— Stało się tak dlatego, że ktoś wymówił nad nimi

84

zaklęcie. Ktoś powołał je do życia. Zamienił zwykłe włosy w szatańskie. Podaj mi rękę.

Kelly niechętnie ujęła dłoń panny Paleforth.

— Zaciśnij palce najmocniej, jak potrafisz. Dziewczyna wyrwała jej dłoń.

— Nie, nie! — krzyknęła. — Połamie pani palce!

— Tak właśnie myślałam. Szatańskie włosy dają niesamowitą siłę. Na Martynice słyszałam opowieści o ludziach, którzy pozwalali im zarosnąć całe ciało, by zyskać niemal nieograniczone możliwości fizyczne i dzięki temu móc zemścić się na tych, którzy uczynili im krzywdę. Nie uciekniesz przed człowiekiem pokrytym szatańskimi włosami, zdolnym wspinać się po pionowych ścianach.

— A jak można się ich pozbyć?

— Według legendy są na to dwa sposoby. Pierwszy z nich to huragan, który je zwiewa, ale tu, na Rayner's Lane, raczej trudno oczekiwać huraganu. Drugi to ogień: można je nim wypalić.

— Wypalić? Ogniem? Czy chodzi o elektrolizę?

— Nadal nie rozumiesz, prawda? Szatańskie włosy nie są częścią ciebie, lecz czegoś innego, co istnieje poza tobą.

Kelly przyglądała się gospodyni przez długą, bardzo długą chwilę. Panna Paleforth wydawała się jej taka ekscentryczna. Nie wiedziała, czy powinna jej wierzyć, czy też nie, ale w spojrzeniu jej bladych oczu dostrzegła prawdziwą troskę.

— Widziałam coś takiego na Martynice, dziewięć, może nawet dziesięć lat temu. Tylko raz, ale lekarz, który przeprowadzał ten zabieg, chciał, żebym była przy nim obecna i mogła go zastosować, gdyby coś takiego kiedykolwiek przytrafiło się także mnie. Potem wróciłam do

85

Anglii, oczywiście jednak nie wierzyłam, bym mogła zetknąć się tu z przypadkiem szatańskich włosów. Ale zdarzyło się to, bo właśnie siedzisz przede mną. Prawdopodobnie jestem jedyną osobą w tym kraju, która wie, jak możesz się ich pozbyć.

— Naprawdę pani to wie?

— Naprawdę. Będzie trochę bolało, ale nie poparzę cię i nie pozostawię żadnych blizn.

— Może pani zrobić to teraz?

— Jeśli chcesz i jeśli mi ufasz...

— Oczywiście — odparła Kelly, z wysiłkiem przełykając ślinę.

Panna Paleforth podwinęła rękaw swetra dziewczyny jeszcze wyżej i położyła jej nagie przedramię na stole.

— Wszystko w porządku? — spytała. Kelly skinęła głową.

Panna Paleforth wstała, podeszła do kredensu i wróciła z butelką jasnego rumu z Jamajki. Nalała do szklanki dużą porcję alkoholu. Przez chwilę Kelly sądziła, że zamierza go wypić, ale gospodyni zapaliła zapalniczkę, po czym zaczęła przesuwać jej płomień wokół szklanki w górę i w dół, z jednej strony w drugą. Po chwili Kelly zorientowała się, że rysuje w ten sposób znak ankh.

Uchyliła się odruchowo, gdy panna Paleforth przesunęła płomieniem zapalniczki tuż przed jej twarzą.

— Jeśli nie chcesz, nie musisz przez to przechodzić — powiedziała gospodyni. — Ty wybierasz. Nie wyhodujesz sobie szatańskich włosów na całym ciele, bo przecież nie ty chciałaś, by się pojawiły. Najprawdopodobniej pojawiły się przypadkiem. Ale musisz się ich pozbyć tak lub inaczej, by nie pozostały z tobą do końca życia, jak choroba, z której nie sposób się wyleczyć. Choroba, która

86

sprawi, że będziesz wiecznie zmęczona, przygnębiona... i samotna. Nie będziesz chciała widywać się z przyjaciółmi. A jeśli chodzi o miłość... nikt opanowany przez szatańskie włosy nigdy nie zazna miłości, bo zawsze będzie czuł, że nie należy już do tego świata, że stoi jedną nogą w piekle.

Panna Paleforth ma rację, pomyślała Kelly. Od czasu, gdy na jej dłoni pojawiły się te dziwne włosy, rzeczywiście czuła się nieswojo, była zmęczona i przygnębiona. Nawet kiedy Ned zaproponował jej spotkanie, miała nadzieję, że się rozmyśli, bo uznała, że byłby to dla niej zbędny kłopot.

Będę czysta — usłyszała nagle ochryply, lecz wyraźny głos. Spojrzała na pannę Paleforth szeroko otwartymi oczami.

Będę czysta, Beelzebub — powtórzył głos.

— Proszę to zrobić — powiedziała tak cicho, że panna Paleforth ledwie usłyszała jej słowa.

— Jesteś pewna?

— Niech pani to zrobi! — krzyknęła. Zdumiała ją siła własnego głosu.

Panna Paleforth wyrecytowała głośno:

— Skóra, paznokcie, włosy, pierścienie, odejdźcie w świat śmierci, gdzie wasze miejsce!

Potrząsała rumem w szklance coraz gwałtowniej, coraz bardziej energicznie, powtarzając przy tym coraz szybciej i szybciej wypowiedziane wcześniej słowa. Po chwili pstryknęła zapalniczką i podpaliła alkohol.

Kiedy rum zaczął palić się niebieskim płomieniem, panna Paleforth bez ostrzeżenia wylała go na przegub dłoni Kelly, mówiąc jednocześnie: „Szatanie, odejź!”.

Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Cała jej dłoń stanęła w ogniu.

87

Widziała, jak włosy płoną i kurczą się; ból był straszny, wyrwała więc rękę z dłoni panny Paleforth i zaczęła nią gorączkowo machać. Płomienie wzbijały się w powietrze i syczały przy każdym jej ruchu. Niemal dostała ataku hysterii, lecz panna Paleforth zachowała niewzruszony spokój. Po krótkiej chwili wstała, podeszła do zlewu, namoczyła ręcznik, wróciła do Kelly i owinęła go mocno wokół jej ręki.

— Nic ci nie będzie — powtórzyła kilkakrotnie łagodnym, uspokajającym głosem. — Nic ci nie będzie. Zrobiłaś, co chciałaś. Pozbyłaś się włosów.

— Nie wiedziałam, że to może aż tak bardzo boleć — chlipnęła Kelly.

— Rozumiem cię doskonale — powiedziała panna Paleforth. — Ale przecież to nie ty paliłaś się żywym ogniem, tylko twoje włosy. Szatan opanował część twojego ciała, a jednak się go pozbyłaś. Nie ty cierpiałaś, lecz on. Popatrz na swoją rękę.

Zdjęła ręcznik z jej dłoni. Skóra zaczerwieniła się lekko, ale poza tym po płomieniu nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Najważniejsze jednak, że znikły włosy. Wszystkie włosy.

— Nie wierzę — wymamrotała Kelly, przesuwając prawą dłońią po skórze lewego przegubu.

— Zapomniałaś, co ci mówiłam? Ogień lub huragan: tylko w ten sposób można pozbyć się szatańskich włosów.

— Ale przecież... przecież nie ma nawet śladu, a paliła się cała moja ręka. Jakim cudem nie spłonęła?

— Ludzie na Martynice mówią, że ogień jest jak zły pies: jeśli mu pozwolisz, rozerwie ci gardło. Jeśli mu się na to pozwoli, zniszczy wszystko, i dlatego trzeba go mocno trzymać na smyczy, by spalił tylko to, co ma

spalić. Podobnie należy postępować ze złem. Jeśli nie zdołasz utrzymać go na smyczy, zarazi wszystko, co spotka na swojej drodze.

— Zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję, bardzo dziękuję. Przyniosę pani kwiaty.

— Miło z twojej strony, że o tym pomyślałaś. Kocham kwiaty... ale, przyznaję szczerze, znacznie chętniej przyjrzałabym się tej twojej piwnicy.

— Naprawdę chce ją pani obejrzeć? Panna Paleforth skinęła głową.

— Jeśli rzeczywiście coś kryje się tam, w ciemności — powiedziała poważnie — należy wyciągnąć to na światło dzienne i zneutralizować. Zniszczyć. Swego czasu, na Karaibach, stykałam się z podobnymi rzeczami. Wiem, co może się stać, jeśli się im nie oprzemy. Boisz się śmierci, prawda? Wszyscy się boimy... ale możesz mi uwierzyć, że to coś jest znacznie gorsze niż zwykła śmierć.

Napełniła czajnik wodą i postawiła go na kuchence, a potem dodała:

— Wyczułam, że w Sizzuz dzieje się coś złego, już wówczas, gdy weszłam tam po raz pierwszy, wprost z ulicy, jako zwykła klientka. Nie wiedziałam co, ale tak bardzo przypominało to uczucie, jakiego doznałam niegdyś na Martynice, że wracałam do was raz za razem. Bardzo chciałam odkryć tę tajemnicę. Nie dziwiło cię, że ktoś tak bałaganiarski i niezorganizowany jak ja dba o swoje włosy i czesze się tak często?

— Będziemy musiały poczekać, aż Simon weźmie sobie wolny dzień — powiedziała Kelly.

— Im szybciej, tym lepiej. A teraz może masz ochotę napić się herbaty St John's Worth?

Poczuła zapach kotów, zanim dotarła do drzwi pani Marshall. Po chwili usłyszała jee, wrzeszczące wniebogłosy i prychające. Isabel obróciła łepkę i coś wymiauczała.

Kelly przycisnęła dzwonek. Nikt nie odpowiedział, więc zadzwoniła ponownie. Ni.c.

Zapukała w szklaną szybę w drzwiach.

— Pani Marshall! — zawołał a. — Pani Marshall! To ja, Kelly z salonu! Nic pani nie jest?

Ale za drzwiami nadal panowała cisza. Pewnie pani Marshall śpi, pomyślała dziewczyna.

Przecież powiedziała kiedyś: „Kocham moje łóżko, zawłaszcza w złą pogodę”. Koło

dziewiątej jednak zazwyczaj była już na nogach, choć często jeszcze w szlafroku. Czasami

schodziła nawet na dół pożyczyc łyżeczkę kawy rozpuszczalnej albo torebkę herbaty.

— Pani Marshall? — tym razem Kelly zadzwoniła i zapukała jednocześnie. I znów nie doczekała się odpowiedzi. Postawiła Isabel na podłodze, zeszła na dół. Zapasowy klucz do mieszkania pani Marshall wisiał w małym pokoiku, który Simon, nieco na wyrost, nazywał swoim „gabinetem”. Kiedy go znalazła, wróciła pod drzwi mieszkania i pogłaskała czekającą na nią Isabel. Zawsze istniała możliwość, że pani Marshall doznała jednej ze swoich „zapaści”, jak je nazywała, albo wzięła środek nasenny i śpi smacznie. Naciski wywierane przez Simona, marzącego o tym, żeby się wyniosła, sprawiały, że starsza pani miewała poważne problemy ze snem.

Kelly otworzyła drzwi.

— Halo? Pani Marshall? — Weszła do dużego pokoju, którego ściany pokrywała papierowa tapeta z wzorem brązowych kwiatów. Jego umeblowanie stanowiła staroświecka brązowa kanapa z dwoma pasującymi do niej fotelami, stolik do kawy ze stojącymi na nim porcelanowymi tancerkami i klaunami oraz wysoki fotel na biegunach, na którym leżała robótka. Pani Marshall robiła sobie zimową czapkę. Brązową.

— Proszę pani! To ja. Czy wszystko w porządku?

Za nią szły koty, mnóstwo kotów. Wąskim korytarzykiem przeszła do kuchni na czele tego kociego pochodu. Czowała się jak czarodziej z Hameln, wyprowadzający szczury do rzeki.

W kuchni panował kompletny chaos. Na podłodze pełno było puszek po jedzeniu dla kotów, ze zlewu wylewały się brudne talerze, a kosz na śmieci wypełniały puste pojemniki po kocim jedzeniu i tacki po gotowych daniach dla jednej osoby. Jeden z kotów siedział na kuchennym blacie koło zlewu, zlizując krople wody kapiące z kranu, inny skubał kurzą kość, którą udało mu się wyciągnąć ze śmieci.

Smród był potworny — zepsutego jedzenia, skwaśniałego mleka i kocich odchodów. Kelly

zatkąła nos chusteczką i zajrzała do łazienki. Nic w niej znalazła, ale odór był tu jeszcze silniejszy, bo właśnie w łazience pani Marshall trzymała kuwety z kocimi odchodami. Kelly pomyślała, że chyba już nigdy nie będzie mogła spojrzeć na kota.

Próbowała otworzyć drzwi do sypialni. Odsunęły się odrobinę i zaparły, jakby zatrzymało je coś jednocześnie miękkiego i ciężkiego. Być może podwinęła się wykładzina?

— Pani Marshall? — spróbowała jeszcze raz. — Czy coś się stało?

93

Popchnęła mocniej drzwi do sypialni, ale zdołała przesunąć je zaledwie pięć, może sześć centymetrów. Poczula ciężki zapach jakiejś kosmetycznej maści i czegoś jeszcze. Ten drugi zapach przypominał jej fetor, który czuć było w najdalszym kącie piwnicy. Była to esencja woni od dzieciństwa budzących w niej obrzydzenie.

— Pani Marshall?

Znowu nic. Kelly postanowiła dać sobie spokój. I tak najprawdopodobniej robiła z siebie idiotkę. Pani Marshall często wychodziła rano do najbliższego sklepu po chleb, mleko i The Sun. I chyba właśnie było już słychać jej kroki na schodach. Tak, to z pewnością ona.

— Pani Marshall! — zawołała Kelly z ulgą i wróciła do saloniku. — Przepraszam bardzo, że ośmieliłam się wejść, ale Isabel została na dworze i...

Po schodach jednak wcale nie wchodziła pani Marshall, tylko Kevin. Rozejrzył się po pokoju i skrzywił z niesmakiem.

— Boże, jaki tu okropny bałagan. A ty? Co ty tutaj właściwie robisz? Przecież wiesz, że każdego ranka muszę wypić filiżankę kawy.

— Szukałam pani Marshall. Zadzwoiłam do drzwi, ale nie odpowiadała.

— No cóż... — Kevin podniósł ze stolika porcelanowego konia i natychmiast odłożył go z powrotem. — Pewnie poszła do tego sklepu na rogu.

— Sama tak pomyślałam, ale to dziwne... nie nakarmiła kotów?

— Może zabrakło jej kociego żarcia? Ma tych zwierzaków tyle, że w tydzień zużywa pewnie setki puszek. Zajrzałaś do wszystkich pomieszczeń?

94

— Niezupełnie. Nie mogłam wejść do sypialni. Drzwi nie chciały się otworzyć.

— No to chyba lepiej będzie, jeśli upewnimy się, o co tu właściwie chodzi. Co za smród!

Nawet robaki by się zadławiły.

Oboje przeszli korytarzem, pokrzykując: „Pani Marshall! Pani Marshall! Ma pani gości.

Niech pani lepiej założy szlafrok!”.

Dotarli do drzwi sypialni i popchnęli je.

— Miałaś rację — przyznał Kevin. — Są zablokowane.

Podparł je barkiem i pchnął mocno. Przesunęły się o kolejne kilka centymetrów. Kevin

stęknął i napał na nie z całej siły. Stopniowo, powoli, otworzyli je do połowy.

Zasłony na oknach dużego pokoju były zaciągnięte, panował w nim mrok i zaduch. Przy

ścianie naprzeciw drzwi stała szafa z orzecha, z owalnym lustrem pośrodku; widzieli w nim

samych siebie, rozglądających się dookoła, bladych i niespokojnych. Dostrzegli także kraniec

łóżka pani Marshall, przykrytego beżową bawełnianą narzutą, oraz stare krzesło z

wypłowiałym obiciem, na którego poręczy wisiał szlafrok.

— Pani Marshall? — spytał Kevin głosem znacznie bardziej piskliwym niż zazwyczaj.

Odchrząknął i powtórzył nieco pewniej: — Czy pani tu jest, pani Marshall?

Zajrzał za drzwi i znieruchomiał, jakby nie od razu potrafił uwierzyć swym oczom. Po chwili

odwrócił się powoli. Miał bardzo bladą twarz.

— Sądzę, że to chyba pani Marshall... — wymamrotał.

— Sądziś? Chyba?

Kevin cofnął się i wyciągnął rękę.

95

— Posłuchaj, Kelly... chyba lepiej, żebyś tego nie widziała. Powinniśmy zadzwonić po gliny.

— Co się stało? Czy ona nie żyje?

— Na pewno nie chcesz wiedzieć, co zobaczyłem. Daję ci słowo, że nie chcesz. Idziemy na dół. Zadzwonimy pod dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć.

— O mój Boże, co tam się stało?!

Kevin próbował coś powiedzieć, ale nagle zzieleniał na twarzy i przykrył usta dłonią.

— Potrzebuję świeżego powietrza... — jęknął, po czym wybiegł na korytarz i popędził po schodach. Trzasnęły frontowe drzwi.

Kelly została sama.

Wcale nie chciała zaglądać do sypialni, lecz jednocześnie czuła przemożną, chorą ciekawość.

Przez chwilę wahała się, patrząc na swoje odbicie w owalnym lustrze starej szafy. Tłumaczyła sobie, że przecież powinna sprawdzić, co się stało z panią Marshall. Ale co będzie, jeśli okaże się, że jest to coś tak strasznego, że do końca życia prześladować ją będą koszmary?

W tym momencie na korytarzu pojawiła się czarna kotka Isabel. Prychnęła i spojrzała na Kelly, jakby pytała, co ma teraz zrobić.

— Nie wchodź — poradziła jej dziewczyna. — Nie chcesz chyba oglądać swojej pani martwej.

Isabel zamruczała gardłowo, chrypliwie. Zanim Kelly zdążyła zareagować, wkroczyła do sypialni i wskoczyła na łóżko.

— Wracaj natychmiast! — krzyknęła zdenerwowana Kelly. — Wracaj, kotku, nie możesz tam przecież zostać.

Isabel miała jednak na ten temat inne zdanie. Siedziała 96

na łóżku z uszami ciasno przytulonymi do czaszki i lekko odchylonym łebkiem.

— Kici, kici... Isabel, proszę...

Ale i to wezwanie nie przyniosło żadnego rezultatu.

Kelly pomyślała, że mogłaby wejść do sypialni i zabrać stamtąd zwierzaka, nie patrząc na panią Marshall; musi to tylko zrobić bardzo szybko, nie odwracając spojrzenia od kotki.

Wejść i wyjść.

— Isabel, chodź, moja śliczna. Bądź dobrym zwierzątkiem.

Zrobiła dwa kroki w głąb sypialni i złapała kotkę wpół. „Nie spojrzę na panią Marshall... nie spojrzę na panią Marshall” — powtarzała sobie w duchu. Musi patrzeć na Isabel i wyjść jak najszybciej. Wszystko będzie w porządku.

Spojrzała jednak.

ROZDZIAŁ 10

Detektyw inspektor Brough wyszedł z mieszkania pani Marshall na podwórze. Przez chwilę stał na świeżym powietrzu, oddychając głęboko; na dworze było zimno i wyglądało to zupełnie tak, jakby wydmuchiwał dym z papierosa. Był niewysokim, mocno zbudowanym mężczyzną z cienkim jasnym wąsikiem, niebieskimi oczami, o zdumiewająco małych dłoniach, sprawiających wrażenie stworzonych do haftu.

— Może filiżankę herbaty? — zaproponowała mu Kelly.

— Z największą przyjemnością.

Po schodach zszedł młody sierżant i dołączył do nich.

— Chłopcy z wydziału zabójstw chcą wiedzieć, czy pan już skończył — powiedział.

— Innymi słowy, chcą wiedzieć, czy przestałem wtykać nos w nie swoje sprawy i pałętać się im pod nogami? No cóż, możesz im powiedzieć, Bryan, że skończyłem. Aha, trzeba zawiadomić Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Strasznie dużo tu tych kotów.

— Tak jest, panie inspektorze.

98

Koty miauczały, łażąc w kółko i najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Ale Isabel przez cały czas trzymała się blisko Kelly, nie odstępowała jej ani na krok.

Kiedy dziewczyna wręczyła inspektorowi filiżankę herbaty, policjant wziął ją w obie dłonie i podmuchał na nią jak na zupę.

— Widziałaś ciało? — spytał.

— Owszem, widziałam — odparła Kelly. — I bardzo tego żałuję.

— Ja również, ja również. Nie do pojęcia, co jeden człowiek może zrobić drugiemu, prawda? Coś takiego może podważyć naszą wiarę w dobro ludzkiej natury, a ty jesteś o wiele za młoda na cynizm.

Milczał przez chwilę, nadal dmuchając na herbatę.

— Przychodzi ci na myśl ktoś, kto mógłby dopuścić się tego czynu? — spytał.

Kelly w milczeniu potrząsnęła głową. Nadal widziała panią Marshall, uśmiechającą się do niej... uśmiechającą się do niej ze ściany, do której przybita była jej głowa.

— Czy ta kobieta miała jakichś wrogów? A może ktoś jej nie lubił? Może jakieś dzieciaki z sąsiedztwa się na nią uwzięły? Bywa, że się włamują, i wówczas sprawy często wymykają się spod kontroli.

— Nikt nie przychodzi mi do głowy.

— Twój szef, Simon Crane, chyba za nią nie przepadał?

— No... chyba nie. Chciał tu, na piętrze, otworzyć Centrum Zdrowego Życia, ale pani Marshall nie zamierzała się wyprowadzić.

— Centrum Zdrowego Życia? A co to takiego?

— No wie pan: siłownia, łóżka opalające, masaż holistyczny, tego rodzaju rzeczy.

— A, rozumiem. Nie, to chyba nie dla mnie. Ja odzyskuję zdrowie w pubie.

— Nazwał nawet kiedyś panią Marshall starą krową. Twierdził, że zatruwa mu życie. Ale przecież by jej nie zabił. Nie mógłby.

— Naprawdę? A to dlaczego?

— Nie jest tego typu człowiekiem.

—

Nikt nie jest „tego typu człowiekiem”. W zeszłym tygodniu jeden z najsympatyczniejszych chłopaków, jakich zdarzyło mi się spotkać, włamał się do domu pewnej staruszki i uderzył ją cegłą w głowę. Miała osiemdziesiąt jeden lat. Zdarzyło się to zaledwie dwa i pół kilometra stąd. Kobieta zmarła w szpitalu dzień po napadzie. Chłopiec ukradł jej dwa funty i toster.

Na dole znowu pojawił się młody sierżant.

— Sprawdziliśmy wszystko jeszcze raz, inspektorze — zameldował. — Żadnych śladów włamania, ale okno w łazience jest otwarte.

— A więc sprawca mógł dostać się do środka na jeden z trzech sposobów... Albo ofiara go знаła i sama wpuściła do środka, albo miał klucz do jej mieszkania, albo wszedł przez okno łazienki.

— Po zamknięciu salonu pani Marshall nigdy nikogo nie wpuszczała — wtrąciła Kelly. — Gdyby to chciała zrobić, musiałaby zejść po schodach na sam dół i przed otwarciem tylnych drzwi wyłączyć alarm.

— A jeśli ten ktoś miał klucz?

— Musiałby mieć dwa klucze, do tylnych drzwi i do jej mieszkania, a w dodatku musiałby znać kod alarmu.

— Czyli, najprościej mówiąc, do mieszkania pani Marshall po zamknięciu waszego salonu dostęp mieli:

100

Simon Crane, Kevin, Susan i ty, tak? Lub ktokolwiek, kogo którekolwiek z was zechciałoby wpuścić.

Kelly przypomniała sobie o Nedzie, którego wprowadziła do salonu wczoraj wieczorem, uznała jednak, że lepiej będzie o tym nie wspominać. Policja zacznie wypytywać, co jej przyjaciel miał tu do roboty. Wyszli razem, więc Ned nie mógł być mordercą. Z całą pewnością nie mógł.

— Mamy jeszcze okno do łazienki — wtrącił młody policjant. — Na zasuwce znaleźliśmy jakieś włosy.

— A jak z dostępem do tego okna z zewnątrz? — spytał detektyw Brough.

— Jeszcze nie wiem. Właśnie miałem zamiar to sprawdzić.

Wyszli razem na podwórko i spojrzeli w górę.

— To tam — powiedział detektyw, wskazując okno, za którym w tym momencie błysnął flesz aparatu policyjnego fotografa.

Okno znajdowało się w pionowej ceglanej ścianie, na wysokości dobrych dziesięciu metrów nad ziemią. Nie było obok niego rynny ani drabinki, żadnego oparcia dla rąk lub nóg.

— No cóż — mruknął Brough — albo mamy do czynienia ze Spidermanem, albo zabójcą, chodzącym po mieście z dwudziestopięciometrową rozkładaną drabiną. Chyba jednak najbardziej prawdopodobna jest hipoteza, że był to ktoś, kogo ofiara znała, lub człowiek, który miał klucz. Bardzo chciałbym pogadać z panem Simonem Crane'em. O której zazwyczaj przychodzi do pracy?

— Zaraz po dziesiątej — odparła Kelly. — Chce pan jeszcze jedną filiżankę herbaty?

- Nie, dziękuję. Jedna zupełnie mi wystarczy —

101

odparł inspektor. Stał przy niej, gdy myła jego kubek w maleńkiej kuchence. — Posłuchaj — powiedział nagle. — To, co dzisiaj widziałaś... no cóż, z czymś takim naprawdę trudno sobie poradzić. Przyślę kogoś, żeby z tobą porozmawiał, on ci pomoże jakoś się z tym oswoić. A gdybyś chciała porozmawiać ze mną... oto moja wizytówka.

Kelly wzięła ją i podziękowała uprzejmie. Nagle coś w niej pękło.

— Jak można tak potraktować człowieka! — krzyknęła. — Jak można tak rozedrzeć czyjeś ciało na strzępy!

Brough obrzucił ją drugim smutnym spojrzeniem.

— Nie wiem — przyznał bezradnie. — I wcale nie jestem pewien, czy chciałbym wiedzieć.

Salon Sizzuz zamknięto na cały dzień. Wszystkich klientów odwołano. Policja to pojawiała się, to znikwała, podobnie jak telewizja i dziennikarze prasowi. Funkcjonariusz Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami zabrał koty. Pojawiła się także kobieta z dzielnicowego wydziału zdrowia.

Simon przyszedł do salonu o dziesiątej piętnaście, na kilka minut przed terminem wyznaczonym jego pierwszej tego dnia klientce. Sprawiał wrażenie zmęczonego, niewyspanego i był zaczerwieniony na twarzy, jakby o kilka minut za długo leżał na łożku opalającym.

— Co tu się dzieje? — spytał, wyraźnie zdenerwowany. — I skąd wzięła się u nas policja?

Detektyw Brough rozmawiał właśnie z Susan, ale kiedy usłyszał te słowa, odwrócił się.

102

— Pan Crane? — spytał. — Pan Simon Crane?

— Tak, to ja. Co tu się dzieje?

— Nie słuchał pan porannych wiadomości?

— Zaspałem. Wziąłem prysznic i jak najszybciej pojechałem do pracy.

— No cóż, w takim razie obawiam się, że mam dla pana złe wieści. Dziś rano znaleźliśmy panią Marshall w jej mieszkaniu. Martwą.

Simon znieruchomiał i zagapił się na policjanta.

— Pani Marshall? Nie wierzę własnym uszom. Któż chciałby zabić panią Marshall?

— Jestem tu właśnie po to, żeby się tego dowiedzieć, panie Crane.

— Rozumiem. Pomogę panu w każdy możliwy sposób. Wprawdzie nie lubiłem pani Marshall, ale nigdy nie posunąłbym się tak daleko...

— Doszło między wami do starcia w sprawie... w sprawie Centrum Zdrowego Życia, nie mylę się?

— Nie myli się pan. Jej mieszkanie było mi potrzebne dla rozszerzenia biznesu, a ona... no cóż, za nic nie chciała się stąd wyprowadzić. Rozumiem, co czuła, w końcu mieszkała tu chyba od początku świata. Ale dla mnie to był problem, poważny problem, przyznaję.

Wydałem fortunę na prawników.

— Przynajmniej niczego pan przed nami nie ukrywa — mruknął inspektor, uśmiechając się lekko.

— Cóż, mogę sobie na to pozwolić. Nie zabiłem jej. Przez całą noc byłem w domu, na Harrow-on-the-Hill. W towarzystwie siostry i szwagra.

— Na razie w zupełności mi to wystarczy. Być może później zaprosimy pana na posterunek, aby omówić szczegóły, oczywiście jeśli się pan zgodzi.

103

— Skoro tylko będę mógł w czymś pomóc, to naturalnie jestem do waszej dyspozycji.

Detektyw Brough położył dłoń na ramieniu Kelly.

— Powinien pan dać tej dziewczynie kilka dni wolnego, jeśli to możliwe. Kevinowi także.

Znaleźli ciało pani Marshall, a zapewniam pana, że nie był to miły widok.

— Och, Kelly... Tak mi przykro, tak strasznie mi przykro — powiedział Simon. — Jak się czujesz? Jeśli chcesz, możesz oczywiście wrócić do domu.

— Sama nie wiem... chyba jednak zostanę. Przynajmniej na trochę.

— Zostań, jeśli chcesz, ale to wyłącznie twoja decyzja. W każdej chwili mogę cię podrzucić do domu. Powiedz tylko słowo.

W tym momencie zadzwonił telefon. Susan podniosła słuchawkę.

— Kelly, to do ciebie. Twój chłopak.

— Wszystko w porządku? — zapytał Ned, zanim zdążył się z nią przywitać. — Właśnie dowiedziałem się o morderstwie, z wiadomości. Usłyszałem też twoje nazwisko.

— Mocno to mną wstrząsnęło, przyznaję, ale w gruncie rzeczy nic mi nie jest, tylko wszystko wydaje się jakieś takie... nierealne. Za chwilę Simon odwiezie mnie do domu.

— A czy ktoś jest u ciebie?

— No... nie. Nie w ciągu dnia. Ale będę mogła położyć się, odpocząć...

— W takim razie pozwól, że przyjadę. Przynajmniej będziesz miała z kim pogadać. Poza tym ja też mam ci coś do powiedzenia. Poszukałem w Internecie tego Belzebuba.

104

Jest o nim mnóstwo informacji, przede wszystkim różnego rodzaju mity, legendy i podania ludowe, ale nie tylko. Wiele z tych informacji sprawia wrażenie prawdziwych, a to budzi poważne obawy.

— A co z szatańskimi włosami? Znalazłeś coś na ten temat?

— Znalazłem. Mnóstwo rzeczy znalazłem. Opowiem ci wszystko, gdy tylko się zobaczymy.

— No to przyjedź po mnie — odparła Kelly. — Bardzo się cieszę.

Odłożyła słuchawkę.

— Dzwonił mój chłopak — wyjaśniła Simonowi. — Zaraz tu będzie. Zawiezie mnie do domu.

— To wspaniale — odparł Simon i uśmiechnął się, nie był to jednak zbyt wesoły uśmiech. — Będziesz w bezpiecznych rękach, a przecież tylko o to chodzi.

Ned zabrał ją do Willow Tea Room w Pinner. Usiedli w kąciku, w pobliżu kominka. Ned zamówił dzbanek herbaty oraz półmisek ciasteczek.

— Po takich doświadczeniach musisz zjeść coś słodkiego — oświadczył.

— Ned, to było straszne, naprawdę straszne. Nawet nie chcę o tym myśleć.

— Powiedz mi szczerze, jak się czujesz. Nie chciałabyś wrócić do domu, położyć się, odpocząć?

— Nie, nic mi nie jest. Ale bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś.

Nalał jej herbaty, wrzucił do niej trzy łyżeczki cukru i zamieszał. Potem wyjął z kieszeni grubą brązową kopertę, w której miał mnóstwo ręcznie sporządzonych notatek.

105

— To informacje na temat Belzebuba, ale to tylko drobna część tego, co znalazłem w Internecie.

— Naprawdę? Tylko część? Chłopak położył kartki na stole.

— Nie uwierzyłbym, że jest w tym choćby słowo prawdy, gdybym na własne oczy nie widział węża. To, co udało mi się zebrać, ma być mitem, legendą, przesądem, ale kiedy widziało się coś takiego na własne oczy, człowiek dochodzi do wniosku, że ma do czynienia z faktami. Istnieje cały świat, w który nie chcemy wierzyć, ponieważ nie widzimy w nim logicznego sensu. Tylko czy w ogóle jest na świecie coś, co ma logiczny sens? Beelzebub albo Belzebub to książę demonów, najważniejszy po samym Szatanie. Jego imię znaczy

dosłownie „władca much”, lecz ostatnie badania jezuitów wykazały, że prawdopodobnie wywodzi się od jego posągu, który ociekał krwią ofiar, przywabiającą tysiące much.

Kelly wzdrygnęła się.

— Makabryczne — mruknęła.

— Wiem. — Ned też się wzdrygnął. — Ale wspomniałem o tym, bo to chyba dość ważne.

Według starej księgi *In Zodiaco Vitae* Belzebub był wysoki, niezwykle silny i miał bardzo przenikliwe spojrzenie. A jego ciało od stóp do głów pokryte było gęstymi włosami.

— Szatańskie włosy... — westchnęła Kelly. — A więc panna Paleforth miała rację.

Ned skinął głową.

— Według jezuitów Belzebub nieustannie próbuje znaleźć wstęp do rzeczywistego świata.

Podobno uważa, że jeśli wzbudzi przychylność na ziemi, Bóg będzie zmuszony przyjąć go z powrotem do nieba, a on chce rządzić właśnie tam. Jezuici twierdzą, że demony i anioły

106

rzeczywiście istnieją, choć nie mają rogów, szponów czy aureoli. Ale istnieją, są wcieleniem absolutnego zła i absolutnego dobra i toczą ze sobą nieustanną wojnę. Będą tak walczyć aż do dnia Sądu Ostatecznego.

— A co z włosami?

— No właśnie. Trochę pokopałem w sieci i w końcu znalazłem to, czego szukałem. Musimy cofnąć się aż do siedemnastego wieku, na Karaiby. W owych czasach marynarze swoimi obciętymi włosami nabijali worki po mące, robiąc z nich w ten sposób miękkie poduszki. Pewnie okropnie zawszone, ale wygodne.

— Obrzydliwe!

— Nie powinniśmy sądzić tych ludzi według naszych standardów higieny. W owych czasach wszyscy chodzili brudni. Dobrze, jeśli myli się raz na miesiąc... O, a tu mam coś naprawdę

ważnego. To internetowa strona poświęcona praktykom magicznym na Karaibach w siedemnastym wieku. Otóż w tysiąc sześćset czterdziestym trzecim roku grupa francuskich marynarzy przybiła do brzegów Martyniki i udała się w głąb lądu, szukając tam czegoś... nikt nie wie czego. Przypadkiem trafili na grupkę kolonistów, którzy nazwali siebie Les Grands Sorciers de Dieu, czyli Wielkimi Czarodziejami Boga. Ludzi tych w tysiąc sześćset trzydziestym roku wygnano z Aix-en--Provence, ponieważ podejrzewano ich o czczenie diabłów i demonów. Podobno wzywali ich i dawali się im opanować, dzięki czemu zyskiwali umiejętność latania, zamiany krwi w wino i chodzenia po wodzie.

— Naprawdę? — zdziwiła się Kelly.

— Co naprawdę?

— Naprawdę umieli latać, chodzić po wodzie i...

107

— Nie ma na to żadnych dowodów. Nauczyli się czarować od magów egipskich i północnoafrykańskich. Wierzyli przy tym, że wykonują dzieło boże, bo przecież demony i diabły muszą być posłuszne Bogu i dlatego właśnie — ich zdaniem — Bóg obdarzył Mojżesza demoniczną mocą, dzięki której potrafił zmienić laskę w węża, sprowadzić na Egipt siedem plag i uwolnić dzieci Izraela.

Ned zamilkł i przez chwilę przeglądał swoje notatki.

— We Francji Les Grands Sorciers osądzono i skazano na śmierć za uprawianie czarów — podjął. — Zdarzyło się jednak wtedy coś bardzo dziwnego... nikt nie był w stanie przeprowadzić egzekucji. Każdy z katów, próbujących założyć tym ludziom pętlę na szyję, zaczynał się dusić i krztusić krwią. W końcu władze zesłały ich na Martynikę, galeonem oznaczonym krzyżem ansate, wy-rysowanym krwią baranka.

— Krzyż ansate?

— To krzyż z kółkiem u góry. Taki sam jak ankh. Tylko w ten sposób można ochronić się przed egipską magią.

— I co się stało z tymi francuskimi żeglarzami? — spytała Kelly.

— Cóż... dostarczyli wygnańcom tego, czego im brakowało, czyli ludzkich włosów. Ludzkie włosy służą do przywołania Belzebuba, a potrzeba ich bardzo wiele. Koloniści rozpruli poduszki marynarzy, a potem wycięli im na piersiach odwrócony znak ankh — i wysączyli z ran na włosy po trzynaście kropli krwi. Następnie rozpoczęli inkantację. Oryginalny tekst tej inkantacji znajduje się w British Library i nie jest udostępniany. Jej pierwsze słowa brzmią: „Betę celeste...”.

108

— Będę czysta... — szepnęła Kelly. — Przecież ja też słyszałam te słowa. To pierwsze słowa przywołujące diabła.

— Tak. Dokładnie tak — przytaknął Ned. — Przez przypadek znalazłaś się w piwnicy, w której to przywołanie miało miejsce. Podczas wymawiania inkantacji czarodzieje zanurzali dłonie w ludzkich włosach, które porastały ich tak, jak to się zdarzyło w twoim przypadku. W końcu wyglądali jak sam Belzebub, byli cali włochaci, od góry do dołu. W pewnym sensie stawali się Belzebubem, bo zyskiwali całą jego moc, mogli nocą wchodzić do domów innych ludzi, zabierać, co im się podobało, i mordować, jeśli akurat mieli na to ochotę. Wspinali się po pionowych ścianach, chodzili nawet po suficie, jak pająki. I umieli się wszędzie ukryć tak, że nikt nie mógł ich znaleźć. Kiedy w nocy otwierasz oczy, możesz zobaczyć któregoś z nich na suficie, skulonego w kącie, przyglądającego ci się z cieni.

Francuscy marynarze i Les Grands Sorciers zawarli ohydne przymierze. Wyznawcy Belzebuba sprawili, że marynarzy porastały włosy, dzięki czemu mogli bezkarnie rabować miejscowe porty i wioski. W zamian koloniści otrzymywali od nich jedzenie, wino i w ogóle

wszystko, co potrzebne im było do życia. Kilku z nich udało się nawet wrócić do Europy. Wkrótce jednak doszło do sporów i nieporozumień. Marynarzom nie podobała się ciągła zależność od kolonistów. Chcieli poznać inkantację. Les Grands Sorciers im oczywiście odmówili. Dokładne brzmienie inkantacji było ich jedynym argumentem przetargowym; gdyby ją zdradzili, pozbawiliby się pomocy marynarzy i udziału w łupach. Zaczęły się kłótnie, a nawet bójki. Podobno doszło w końcu do tego, że koloniści użyli swej magii do wzniesienia pożaru na statkach, które poszły na dno ze wszystkim, co zagrabiono podczas ostatniego rejsu, a żeglarze w odwecie spalili osadę i zabili magów. Tak więc cała ta sprawa zakończyła się w smutny sposób... Jeśli chcesz, możesz to sobie sprawdzić. Na stronie www.beelzebub.com.

— Ale to wszystko działo się setki lat temu! — zawołała Kelly. — Myślisz, że znów się zaczęło? Dziś? W Londynie?

Ned z przekonaniem kiwnął głową.

— Dziwnie to wszystko do siebie pasuje, nie uważasz? Włosy, te same wypowiedane po francusku słowa, imię Beelzebub czy Belzebub. No i nie zapominajmy o dwóch ofiarach morderstw dokonanych przez kogoś, kto dotarł do ich mieszkań, wspinając się po pionowej ścianie.

— I...?

— Czy to nie jest oczywiste? Co łączyło obie ofiary, oczywiście jeśli pominiemy sposób ich uśmiercenia? Richard Walker był znanym stylistą, a pani Marshall starszą kobietą, kochającą koty. Nic? O nie, bynajmniej! Oboje byli związani z Simonem Crane'em!

— To nie Simon. Nie wierzę — zaprotestowała Kelly.

— Przyznam, że nie mam żadnych dowodów jego winy. Ale tylko pomyśl, dziewczyno. Czy mógłby to być ktoś inny? Wspólnie przeszukaliśmy piwnicę, na własne oczy przekonaliśmy

się, że nikogo tam nie ma, prawda? Były szepczące głosy, owszem. Zmieniające się w węże włosy, tak. Ale nie widzieliśmy ani włóczęgów, ani innych nielegalnych mieszkańców. Tylko włosy... i byliśmy świadkami działania złej siły, która potrafi zmienić włosy w coś znacznie gorszego.

110

Kelly machinalnie pogładziła się po lewej ręce.

— Panna Paleforth powiedziała mi dokładnie to samo. Że zostałam dotknięta przez coś, co jest absolutnym złem.

— I przez to źle się poczułaś, prawda? Rękę miałaś mocną, ale czułaś się słaba? Wyobraź sobie teraz, że cała jesteś pokryta włosami. Co czujesz? Jesteś niesamowicie silna... ale przez głowę przemykają ci potworne myśli. Gniew, zapamiętanie, nienawiść.

— Nadal nie wierzę, że to Simon. Zawsze był dla mnie taki miły.

— Tak naprawdę na razie nic nie wiemy. Może to nie on? Ale może mamy tu do czynienia z doktorem Jekyll'em i panem Hyde'em? Gdy Simon jest, powiedzmy, normalny, to najmiłszy facet pod słońcem, ale kiedy pokrywają go włosy, staje się przerażający, jak dzika bestia, nie rozróżniająca dobra od zła.

— A jeśli to nie on? — spytała Kelly.

— Nie w tym rzecz. To przecież mógł być choćby Kevin. Albo Susan. Albo ktoś, kogo nigdy nie spotkałaś. Kim jest sprawca, to drugorzędna sprawa, nie możemy jednak dopuścić, by dalej zabijał. Zgadzasz się ze mną?

— Zgadzam, oczywiście, ale co możemy zrobić?

— Na razie nie wiem. Cały czas o tym myślę.

— Sądzę, że warto byłoby porozmawiać z panną Paleforth. Ona mogłaby nam pomóc.

Uwolniła mnie od tych włosów... może zna sposób, żeby jakoś zakończyć całą tę sprawę.

— Więc dlaczego jej o to nie zapytasz?

Kelly skinęła głową, ale nagle poczuła się słabo i zadrżała. Ned ścisnął jej dłoń.

— Nie martw się — próbował ją uspokoić. — To objawy wstrząsu, tyle że opóźnione. Nie będziemy już

111

rozmawiać na ten temat. Zabiorę cię do domu. Pogadamy jutro.

Zapłacił za herbatę i poprowadził ją do samochodu, obejmując opiekuńczo. Kelly uważała się za kobietę niezależną, nie tęskniącą za taką opieką, ale w tej chwili czuła, że bardzo jej potrzebuje. A jednak, kiedy jechali do niej do domu, przez cały czas miała nadzieję, że Ned się myli, że Simon nie ma nic wspólnego z tymi dwoma ohydnyimi morderstwami.

W wiadomościach o jedenastej podano, że po czterech godzinach przesłuchania w sprawie zabójstwa pani Violet Marshall stylisty Simon Crane został zwolniony przez policję posterunku w Harrow. Adwokat oznajmił, że alibi jego klienta było „nie do podważenia”.

„W chwili gdy nieszczęsna pani Marshall została zaatakowana, pan Crane spał w swoim łóżku, we własnym mieszkaniu w Harrowon-the-Hill. Potwierdzają to nie tylko jego siostra i jej mąż, którzy zostali u niego na noc i nie spali w chwili, gdy popełnione zostało morderstwo, lecz także taśma z zainstalowanych przy wejściu kamer przemysłowych, dowodząca, że pomiędzy dwudziestą trzecią jedenaście w nocy a szóstą dwadzieścia siedem rano nikt nie wchodził ani nie wychodził z budynku.

Pan Crane oczyszczony został również z wszelkich podejrzeń w sprawie zamordowania stylisty z West Endu, Richarda Walkera. Zarówno świadkowie, jak i nagrania z kamery umieszczonej przy wejściu do budynku, w którym mieszkał pan Crane, dowodzą, że tego wieczoru nie mógł opuścić mieszkania. — Prawnik zamilkł na moment, po czym dodał: — Chyba że umie latać”.

Kelly siedziała na kanapie, otulona kocem. W gazowym kominku płonął ogień, co w domu O'Sullivanów było raczej luksusem, a matka przyniosła gorącą czekoladę. Mimo to dziewczyna miała wrażenie, że już nigdy nie będzie jej ciepło.

— Nic ci nie jest, córeczko? — spytała pani O'Sullivan.

Nagle na korytarzu rozległ się straszny łoskot i krzyk bólu. To młodszy brat Kelly, Patrick, próbował zjechać po schodach na blaszanej tacy, naśladowując któregoś z bohaterów komiksów.

— Patrick! — krzyknęła matka. — Jeśli chcesz się zabić, przynajmniej rób to cicho!

Kelly mocno uścisnęła jej rękę. W tej chwili potrzebowała obecności matki bardziej niż kiedykolwiek, choć wiedziała oczywiście, że nie może jej prosić o to, by stanęła za nią twarzą w twarz z demonami. Tego musi dokonać sama.

— Nic mi nie jest. Naprawdę.

— Tylko bez koszmarów, bardzo cię proszę.

Ale Kelly oczywiście miała koszmary.

We śnie kostniała z zimna. Miała na sobie tylko cienką bawełnianą koszulkę nocną. Sypialnia był mroczna, oświetlało ją jedynie nikłe bladoniebieskie światło. Kelly wytrzymała wzrok, lecz niemal nic nie widziała.

Naprzeciw niej stało łóżko, nadal przykryte narzutą; w mroku nie potrafiła nawet rozpoznać, jakiego jest koloru. Wcale nie chciała do niego podchodzić, ale przyciągała ją tam jakaś siła.

Zacisnęła powieki. Nie chciała nawet patrzeć. Nie spojrzalaby za żadne skarby świata!

Kolanami dotknęła krawędzi łóżka. Przez cienką koszulkę czuła materac, wilgotny i zimny.

Czuła woń, której nie była w stanie opisać; tak mogłaby pachnieć ciemność, gdyby ciemność miała zapach, tak pachnie bagnista rzeka nocą. Tak pachną miejsca, w które człowiek nie

powinien się zapuszczać.

Nie chciała patrzeć. Nie chciała nawet otworzyć oczu. Dłonie zacisnęła w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły jej się w skórę. Wiedziała jednak, że jeśli nie spojrzy teraz, będzie tu tak stała, godzina za godziną, dopóki wreszcie się nie załamie.

„Pomóżcie mi...” — szepnęła z rozpaczą, ale jej głos nie wzbudził nawet najcichszego echa — i oczywiście nikt jej nie odpowiedział.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała, mocno zaciskając powieki. W sypialni robiło się coraz chłodniej. Zadrzała. Słyszała też jakieś dźwięki przypominające drapanie, jakby szczurów.

Wielkich szczurów... lub czegoś znacznie gorszego.

Głęboko odetchnęła zimnym powietrzem, otworzyła oczy i zobaczyła to samo, co tak niedawno widziała w sypialni pani Marshall, tylko światło było tu inne — bladoniebieskie — a powietrze bardzo chłodne. Ale wszystko wydawało się takie rzeczywiste...

Odciętą głowę pani Marshall przybito do ściany wysoko nad łóżkiem. Miała otwarte oczy, podobnie jak usta, w których wisiał język. Rozwichrzone włosy wyglądały, jakby zginęła od porażenia prądem.

Dłonie również miała odcięte — przybito je do zagłówka, po jego obu stronach. Stopy, także odcięte, morderca ustawił porządnie przy łóżku.

Kelly powoli odwróciła głowę. Nic dziwnego, że nie mogła otworzyć drzwi — blokowało je bezwładne ciało ofiary, a raczej to, co z niego zostało.

„Chcę się obudzić” — powiedziała powoli. Ale koszmar wciąż trwał. W korytarzu za drzwiami mieszkania pani Marshall usłyszała jakieś skrobanie i kroki. Koty miauczały tak przeraźliwie, że aż dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

Coś się zbliża — pomyślała, bliska paniki. Coś nadchodzi. Czy to jeszcze sen, czy może już

nie? Bo jeśli nie, muszę uciekać, to coś mnie ściga i jeśli dam się pochwycić, urwie mi głowę i przybije ją do ściany obok głowy pani Marshall. I obetnie mi głowę i stopy.

„Uciekaj! — powiedziała cicho sama do siebie zdławionym głosem. — Uciekaj!”.

Powtarzała to słowo, kiedy się budziła. Drżała, cienka koszulka przylegała do jej spoconego ciała. Podświetlona tarcza zegara Siobhan pokazywała godzinę trzecią trzydzieści dwa.

Siostra nocowała u przyjaciół, więc tej nocy Kelly miała sypialnię dla siebie.

— Nie ucieknę — powiedziała głośno, uklepując poduszkę. — Nie ucieknę. Nie chcę... i nie mogę.

ROZDZIAŁ 11

Kiedy Simon pojawił się rankiem następnego dnia, był w doskonałym humorze. Uśmiechał się do wszystkich, przede wszystkim jednak podszedł do Kelly.

— Jak się czujesz? — zapytał. — Możesz wziąć sobie kilka wolnych dni.

— Nie chcę. Nic mi nie jest. Wolę pracować. Jeśli się czymś nie zajmę, przez cały czas będę myślała o pani Marshall.

— Mam nadzieję, że uda się złapać sprawcę. Aż strach pomyśleć, że po świecie chodzą ludzie, zdolni zabić bezbronną starszą panią.

Kevin uniósł brew i popatrzył na niego. Simon dostrzegł to.

— Nie lubiłem pani Marshall, przyznaję — powiedział. — Zresztą nigdy tego nie ukrywałem. Nawet przed policją. Bardzo mi zależało, żeby zwolniła mieszkanie, ale to nie znaczy, że życzyłem jej śmierci. Zwłaszcza tak strasznej śmierci. A przecież mogłeś zginąć ty albo Kelly. Każdy z nas.

116

W tym momencie do salonu weszła Isabel i zaczęła obwąchiwać podłogę.

— Co tu robi ten kot?! — zawołał Simon, wyraźnie zdenerwowany. — To jej, prawda?

Myślałem, że wszystkie zabrali do schroniska.

— Spytałam ich, czy mogę ją zatrzymać — wybąkała Kelly. — Obiecuję, że nie będzie przeszkadzała. Dopilnuję, żeby nie wchodziła nam w drogę, a wieczorem zabiorę ją do domu.

— Nie możemy trzymać kota w salonie.

— Dlaczego nie? — zdziwiła się Susan. — Klientom bardzo by się to spodobało.

— Nie możemy, i tyle. Naruszylibyśmy przepisy sanitarne. Podajemy kanapki i kawę... co by było, gdyby znalazł się tam włos?

— Naprawdę uważasz, że może nam zaszkodzić kilka kocich włosów? Tutaj? W salonie fryzjerskim?

— Bardzo mi przykro, Kelly, ale właśnie tutaj, w salonie fryzjerskim, nie ma miejsca dla kota — oświadczył Simon. — Skończmy tę rozmowę.

Podszedł do Isabel i wyciągnął rękę.

— Kici, kici, kici... Pójdziemy na spacer, kotku, dobrze? Na podwórko. I tam zostaniesz. To miejsce w sam raz dla ciebie.

Ogon Isabel wyprężył się i zjeżył niczym szczotka, podobnie jak futro na wygiętym grzbiecie, a gdy Simon przysunął się bliżej, kotka zaczęła prychać na niego.

— Mam wrażenie, że nie przepada za tobą — stwierdziła pani Hyde, siedząca na krześle Kevina.

— Jest trochę dzika, i w tym problem. Ta kobieta nie umiała dbać o zwierzęta i nie wychowała ich jak należy. Jedzenia szukały w koszach na śmieci.

117

— Ależ nie — zaprotestowała pani Hyde. — Ona po prostu pana nie lubi, to wszystko. Ja też mam koty. Wiem, jak okazują niechęć.

— Chodź do mnie, głupia — warknął Simon, wyciągając rękę.

Lewa łapa Isabel wysunęła się błyskawicznie i na dłoni Simona pojawiły się długie skaleczenia.

— Auuu! Widzieliście, co mi zrobiła?

— Przecież ona tylko się broni — mruknął Kevin. Simon był wściekły. Jeszcze raz próbował złapać kotkę,

ale Isabel tym razem zaatakowała obiema łapami, raniąc go ponownie, po czym

błyskawicznie wdrapała się na oparcie fotela pani Hyde i skoczyła Simonowi na głowę.

— Auuu! — wrzasnął, łapiąc się za rozorany policzek. Kręcił się w kółko, próbując zrzucić kotkę, która mocno wczepiła mu się we włosy i ani myślała puścić. — Zdejmijcie ją ze mnie! Zdejmijcie!

— Na miłość boską, przestań się kręcić! — krzyknęła Kelly. — Tylko straszysz zwierzaka.

— Macie ją natychmiast ze mnie zdjąć!!! — ryknął Simon.

Bił kotkę i szarpał nią, ale osiągnął tylko tyle, że mocno wczepiła się pazurami w skórę

czaszki. Kelly złapała Isabel za ogon i pociągnęła z całej siły. Isabel miauknęła przeraźliwie i jeszcze mocniej wbiła pazury w głowę Simona. Ale drugie pociągnięcie załatwiło sprawę.

Kotka zeskokczyła na ziemię, trzymając w łapach długie jasne loki.

Wszyscy obecni zagapili się na Simona, niemal kompletnie łysego, z czaszką pociętą

krwawiącymi zadrapaniami. Pierwsza oprzytomniała Kelly. Ostrożnie odebrała kotce perukę i oddała ją właścicielowi.

118

— Bardzo mi przykro — powiedziała. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

Simon odetchnął kilka razy głęboko. Pozbawiony swoich jasnych włosów wyglądał staro, nie wydawał się już szczupły i przystojny, raczej chudy i drapieżny — przypominał sępa. Nie założył peruki. Stał w milczeniu, a gdy się już nieco uspokoił, powiedział drżącym głosem:

— Wracajcie do pracy. Wszyscy. Ja wyjeżdżam do Birmingham. Wrócę dopiero jutro, a ty, Kelly, masz w tym czasie pozbyć się tego kota. Jeśli znów zobaczę go gdzieś w pobliżu salonu, wezwę weterynarza, żeby go uśpił.

— Oczywiście, Simonie. Przepraszam cię.

Simon z peruką w dłoni sztywno wymaszerował z salonu. Zatrzęsł drzwi tak mocno, że z półeczki nad zlewem spadł kubek. Po chwili przeraźliwie zapiszczały opony odjeżdżającego bmw.

— O mój Boże... — westchnęła Kelly. — Strasznie go zawstydziłam. Ale przecież nie chciałam. Naprawdę nie chciałam. Okropnie się teraz czuję.

— Nigdy bym się nie domyśliła, że jest łysy — mruknęła Susan. — Ale niespodzianka! Wyglądał dość przerażająco, nie uważacie?

— Jeden z najlepszych łuków, jakie widziałem — stwierdził Kevin z podziwem.

— Łuków?

— To taka śmieszna rymowanka: „Wszystkie łuki w peruki”.

Kelly usiadła ciężko na jednym z foteli. Nagle łzy pociekły jej po policzkach, a całym ciałem wstrząsnął szloch. Susan podeszła i objęła ją mocno.

119

— Płacz, płacz, kochanie — powiedziała współczująco. — Przeżyłaś straszny szok. Czasami najlepiej się wypłakać.

Wczesnym popołudniem w salonie pojawiła się panna Paleforth. Ubrana była w długą zieloną suknię, na głowie miała bezkształtny wełniany kapelusz, a w ręku trzymała torbę z Sainsbury's, wypchaną ręczną robótką, rzodkiewkami i rypsem, jakby przebiegła całe miasto w poszukiwaniu wyłącznie rzeczy, których nazwy zaczynają się na „r”.

Kelly zajęła miejsce przy stole recepcyjnym. Panna Paleforth pochyliła się i szepnęła jej do

ucha:

— Z wiadomości dowiedziałam się o tym, co się zdarzyło tam, na górze. Straszne, po prostu straszne. Wpadłam sprawdzić, czy z tobą wszystko w porządku.

— Dziękuję pani, nic mi nie jest. Ale ostatniej nocy miałam paskudne koszmary.

— Policja twierdzi, że to mogło być rytualne morderstwo...

— Przeżyłam okropne chwile. Wolę o tym nie myśleć. Panna Paleforth przyglądała jej się ze współczuciem

przez kilka długich chwil. W końcu powiedziała:

— Muszę coś wiedzieć...

Kelly spojrzała na nią z lekkim niepokojem. Panna Paleforth wyglądała dość niesamowicie, wydawała się patrzeć gdzieś daleko w przestrzeń.

— Muszę wiedzieć wszystko o jej głowie, dłoniach i stopach. Rozumiesz, policja nie podała szczegółów. Wspomniano tylko o „rytualnym morderstwie”. Nic więcej.

120

Dziewczyna zawahała się. Pamiętała polecenie detektywa Brougha: nie wolno jej rozmawiać o tym, co widziała. Z nikim.

— Czy zostały... odcięte?

Kelly przytaknęła. Panna Paleforth pokiwała głową, jakby nie spodziewała się innej odpowiedzi.

— Tego się właśnie obawiałam. Miałam nadzieję, że morderstwo dokonane właśnie tutaj... że to tylko przypadek. Ale głowa i dłonie, i stopy... nie, nie może być mowy o przypadku.

Jeśli ktoś zginie w ten sposób na Martynice, wiadomo, że ma to związek z szatańskimi włosami. Rzecz w tym, że do nieba nie dostaniesz się bez głowy, niezdolna wyśpiewywać chwały bożej, bez dłoni, które składasz do modlitwy, i stóp, dzięki którym mogłabyś chodzić

po łakach Pana. — Panna Paleforth podniosła głowę i niespokojnie rozejrzała się dookoła. —

Muszę zejść do piwnicy — oświadczyła nagle. — Muszę zobaczyć ją na własne oczy.

— Chciałabym o wszystkim zapomnieć. Proszę, zostawmy to... Chyba powinnam rzucić Sizzuz i poszukać pracy gdzie indziej.

— Zaprowadź mnie do piwnicy, przecież tylko o to cię proszę. Ten jeden jedyny raz, apotem... tak, przypuszczam, że rzeczywiście byłoby lepiej, gdybyś stąd odeszła. Tak daleko, jak to tylko możliwe.

— O co pani chodzi? Dlaczego to takie ważne?

I znów panna Paleforth milczała nieznośnie długo. W końcu jednak zdecydowała się odpowiedzieć na to pytanie.

— Był lekarzem... — zaczęła. — Dobrym lekarzem i bardzo dobrym człowiekiem.

Spotkałam go na Martynice. Gdyby żył... no cóż, gdyby żył, nie byłabym dziś

121

panną Paleforth, którą pozostanę aż do śmierci. Ale ośmielił się wyzwać na pojedynek miejscowego uzdrawiacza, który straszliwie się na nim zemścił... zgodnie z odwiecznym rytuałem.

Właśnie dlatego muszę zejść do piwnicy. Przysięgłam sobie, że jeśli gdziekolwiek i kiedykolwiek znów napotkam na swojej drodze Belzebuba, ruszę jego tropem i pokonam go.

Na zawsze. Ten lekarz... on nie mógł pójść do nieba, ale ja pójdę wszędzie i zrobię wszystko, by Belzebub wrócił do piekła.

— A więc pani o nim wie... — szepnęła Kelly.

— Moja droga, niemal całe życie poświęciłam, by się o nim wszystkiego dowiedzieć.

Potrafię go wyczuć.

— No dobrze. Niech pani wróci tu za dwadzieścia siódma, kiedy wszyscy pójdą do domu.

— Dziękuję ci, Kelly. Jeśli teraz dokonamy tego, czego chcemy dokonać, pewnie ocalimy wielu, bardzo wielu ludzi. A także ich dusze.

Gdy tylko panna Paleforth wyszła z salonu, Kelly wystukała numer telefonu komórkowego Neda.

— Utknąłem w korku w Ealing — powiedział Ned, usłyszawszy jej głos. — Mam nadzieję, że to nie jest pilna sprawa.

Kelly opowiedziała mu o wszystkim, czego dowiedziała się od panny Paleforth.

— Mógłbyś przyjechać do mnie wieczorem? — poprosiła. — Nie chcę schodzić do piwnicy bez ciebie.

— A ja nie chcę, żebyś cokolwiek beze mnie robiła.

— Słucham...?

— Przecież słyszałaś. Nie chcę, żebyś się narażała. Za

122

bardzo cię lubię. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że się w tobie zakochałem. Kelly poczuła, że się rumieni.

— To niemożliwe. Przecież prawie mnie nie znasz.

— Oczywiście, że możliwe. Nigdy nie słyszałaś o miłości od pierwszego wejrzenia?

— Nie wiem... — odparła, ale słowa Neda sprawiły jej wielką przyjemność. Odłożyła słuchawkę, wróciła na swoje miejsce za ladą recepcji, usiadła i zasłoniła dłonią usta, ukrywając uśmiech.

O szóstej poczuła się głodna, kupiła więc sobie makaron chów mein, ale zjadła tylko kilka łyżek. W kuchence nadal czuło się zapach kotów, co przypomniało Kelly przybitą do ściany głowę pani Marshall, jej wykrzywione w makabrycznym uśmiechu wargi i wybałuszone oczy. Resztę chińszczyzny wyrzuciła do śmieci.

Isabel nie odstępowała jej ani na krok. Gdziekolwiek szła Kelly, tam była i kotka, płacząca jej się pod nogami, a kiedy dziewczyna usiadła na fotelu Susan, Isabel wskoczyła na najbliższą półkę. Ani na chwilę nie spuszczała z Kelly swoich żółtych ślepi i przez cały czas mruczała głębokim, gardłowym głosem.

— Odkryjemy, co przydarzyło się twojej pani, kochanie — obiecała jej Kelly.

Kotka oczywiście nie odpowiedziała, ale mruczała coraz głośniej i głośniej, mogłaby chyba zagłuszyć całe stado grzechotników, których używają Meksykanie świętując swój Dzień Zmarłych.

Kelly pochyliła się i spojrzała zwierzęciu w oczy.

123

Isabel nie cofnęła się ani o centymetr. Pewnie gdzieś w jej sercu zamieszkała dusza pani Marshall, spoglądającej teraz na świat kocimi oczami, niemej, niezdolnej powiedzieć, kto ją zamordował, ale zdecydowanej dokonać zemsty.

— Muszę przeprowadzić tu pewien rytuał — oświadczyła panna Paleforth. — Będzie ci się to pewnie wydawało bełkotem, jakimś hokus-pokus, ale jeśli działało na Martynice, nie widzę powodu, by nie udało się także tutaj, w Londynie. Prawdopodobnie w większości są to bzdury, ale rozmawiałam kiedyś z księdzem odprawiającym egzorcyzmy. Powiedział mi, że niczego nigdy nie odrzuca, niezależnie od tego, jakie wydawałoby się to głupie, bo być może właśnie to okaże się najważniejsze i decydujące.

— Ma pani zamiar odprawić egzorcyzmy? — zdumiała się Kelly.

— Och, nie! W każdym razie nie takie, jak w filmie Egzorcysta. Ale też chodzi tu o wypędzenie złych duchów. Jeśli jakieś są w tej piwnicy szybko sobie z nimi poradzimy.

— Boję się — przyznała Kelly. Ned objął ją i przytulił mocno.

— Uspokój się, jestem z tobą—powiedział. — Wszystko będzie dobrze.

Panna Paleforth wyjęła z torebki mały jutowy woreczek, ciasno związany sznurkiem.

Otworzyła go i wysypała coś na dłoń.

— To sól — oświadczyła. — Nic tak jak sól nie chroni człowieka przed złymi duchami. W średniowieczu nocą ludzie chodzili po własnych domach, trzymając ją w garści

124

Na wypadek, gdyby spotkali diabła. — Rozrzuciła sól po salonie. — Jeśli wygnamy duchy z piwnicy, nie ośmielą się tutaj ukryć — dodała. — No i oczywiście już nie wrócą. Złe duchy są gorsze od gołębi. Zawsze próbują wrócić tam, skąd je wygnano.

Podeszła do prowadzących do piwnicy drzwi i grubą czerwoną kredką nakreśliła na nich krzyż w miejscu, w którym widniał znak ankh.

— W ten sposób pozbędziemy się złej aury — wyjaśniła. — A teraz chodźmy na dół.

Sprawdźmy, co się tam kryje.

Otworzyła drzwi. Kelly natychmiast zapaliła światło.

— Masz wszelkie prawo się bać — powiedziała cicho panna Paleforth. — Tylko głupiec może twierdzić, że zło mu niestraszne. Ale każdy z nas prędzej czy później musi stanąć twarzą w twarz ze swoim strachem, inaczej ten strach powróci i zatruje mu całe życie.

— Może i tak — mruknęła Kelly. — Chyba jednak wolę zostać tu, na górze.

— Bardzo cię proszę! Potrzebuję pomocy, od ciebie i od wszystkich, którzy mogą mi jej udzielić. Potrzebuję towarzystwa ludzi, którzy wierzą! Nie masz pojęcia, jak wiele złych duchów unika kary i nie zostaje wygnanych tylko dlatego, że ludzie nie chcą w nie uwierzyć!

Kelly zawahała się. Nie miała ochoty znów schodzić do piwnicy. Panna Paleforth uściśniła jej dłoń.

— Słuchaj... przecież ty sama mnie tu sprowadziłaś. Poprosiłaś mnie o pomoc, bo wiedziałaś,

jak straszne rzeczy mogą się zdarzyć. A teraz ja potrzebuję twojej pomocy. Bez ciebie będę tylko słabym głosem, próbującym przekrzyczeć chór upiórów.

125

— Chodź, Kelly — powiedział Ned stanowczym tonem. — Będę przy tobie przez cały czas.

Dziewczyna spojrzała na niego i po chwili skinęła głową.

— No dobrze. Ale jeśli zdarzy się coś strasznego...

— Jeśli zdarzy się coś strasznego, wszyscy będziemy stąd uciekać ile sił w nogach —

przerwała jej panna Paleforth. Wyjęła wielką latarkę, zapaliła ją i oświadczyła: — Idziemy, kochani. Teraz albo nigdy.

ROZDZIAŁ 12

Panna Paleforth zeszła po schodach jako pierwsza; Kelly wraz z Nedeem szli za nią w pewnej odległości. Tego wieczoru piwnica salonu fryzjerskiego wydawała się dziwnie spokojna, nie słychać było nawet monotonnego kapania wody. Dochodził do nich tylko głęboki pomruk metra, ruszającego ze stacji Rayner's Lane, i syk powietrza, wydobywającego się z szybów wentylacyjnych i szczelin w ścianach tunelu. Przypominało to jakiś upiorny chór, odzywający się co pięć, czasem dziesięć minut od wczesnego ranka do późnej nocy.

Torby z włosami i śmieciami leżały na stosie przy prawej ścianie. Za nimi znajdowała się wnęka, tak ciemna, że nie docierało do niej nawet światło latarki.

Panna Paleforth postawiła na podłodze pięć świec, tworząc z nich kształt pentagramu, i zapaliła je. Pachniały jałowcem i czymś jeszcze, kojarzącym się Kelly z zapachem kulek na mole.

— Podejdźcie bliżej — powiedziała. — Spróbujemy oczyścić to miejsce tak, by nic złego nie mogło tu pozostać, by nikt nie mógł dokonać tu żadnego złego czynu.

127

Zło jest jak choroba, zdezynfekujemy więc piwnicę w podobny sposób, w jaki dezynfekuje się salę szpitalną. Rozumiecie?

— Tak — odparła Kelly. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak głośno szczękają jej zęby.

— Ned, przynieś mi tę torbę włosów. Połóż ją pomiędzy świecami, mniej więcej pośrodku.

Chłopak posłusznie przyniósł torbę.

— Jest obrzydliwa — syknął przez zęby. — I jakoś tak... chrzęści.

Kiedy położył torbę na wskazanym miejscu, panna Paleforth posypała ją solą.

— Duchu ciemności, już się przed nami nie ukryjesz — wyrecytowała. — Duchu zła, ciemność już cię przed nami nie osłoni. Jesteśmy tu, by wywieść cię na światło. Jesteśmy tu, by cię wygnać.

Przez chwilę zdawało się, że nic się nie wydarzy, ale nagle sól zaczęła trzeszczeć, skakać i błyskać błękitnym płomieniem, jakby rzucono ją na palnik kuchenki gazowej. W plastikowej torbie pojawiły się maleńkie dziurki, a w nich ukazały się włosy: sztywne, skręcone, pokryte łupieżem.

— Rozkazuję ci powrócić tam, skąd przyszedłeś! Rozkazuję ci odejść i nigdy tu nie wracać.

Rozkazuję ci, byś już nigdy nie wykorzystywał słabości tych, którzy chcą użyć twojej mocy dla własnych egoistycznych celów. Ogłaszam to miejsce czystym, nieskażonym. Złe duchy nigdy już nie ośmielą się tu ukryć.

Zapadła cisza. Trwała bardzo długo, aż w końcu przerwała ją panna Paleforth, mówiąc cicho:

— Sądzę, że powinniśmy się teraz pomodlić.

Cała trójka przymknęła oczy i stała w milczeniu przez długą chwilę.

Wokół panowała cisza, słyszeli jedynie upiorny szum przewiewanego przez nieszczelne

ściany powietrza. Kelly modliła się za duszę pani Marshall oraz Richarda Walkera —

choć nigdy go nie widziała — ale najgoręcej o to, by Belzebub opuścił piwnicę i na zawsze znikł z jej życia.

Wreszcie panna Paleforth odchrząknęła dyskretnie. Kelly i Ned otworzyli oczy i rozejrzeli się dookoła.

— No, chyba się nam udało — powiedziała panna Paleforth. — W każdym razie powietrze zrobiło się świeższe.

— A więc to koniec? — zdziwiła się Kelly. — Już nie będzie szeptów i węży, nie będzie morderstw?

— Miejmy nadzieję.

— Dziękuję. Bardzo pani dziękuję. I przepraszam za to, że tak się bałam.

— Już po wszystkim! — zawołał uradowany Ned. — To wcale nie było takie trudne, prawda? Wystarczyło tylko wypowiedzieć właściwe słowa.

Panna Paleforth pochyliła się, by zdmuchnąć świece. W tej samej chwili Kelly usłyszała obrzydliwy szelest i zobaczyła, że stojąca pośrodku pentagramu torba zaczyna się poruszać, zupełnie jakby coś zamkniętego w niej próbowało wyrwać się na wolność.

Panna Paleforth wyprostowała się powoli i cofnęła o krok.

— Co się dzieje... — jęknęła Kelly.

— Ciii...

Torba pękła nagle z trzaskiem tak głośnym, że aż podskoczyli. Wydobył się z niej wielki kłęb włosów, jasnych i ciemnych, rudych i siwych. Na ich oczach powoli zaczęła się formować osadzona na grubej szyi wielka głowa o wypukłym czole i haczykowatym nosie. Mogłaby to być ludzka głowa, tyle że powstała wyłącznie z włosów, falujących i jeżących się przy każdym jej ruchu. Kelly kurczowo uczepliła się ramienia Neda i z przerażeniem

obserwowała głowę z włosów, która obróciła się powoli w ich stronę i otworzyła ślepe, utkwione w nich oczy, również utworzone z włosów. Cisza przedłużała się, aż wreszcie potwór przemówił włóchatymi ustami:

— A więc chcecie mnie przepędzić? Wy, nędzni i słabi?

— Kim jesteś?! — krzyknęła panna Paleforth. Jej głos drżał. — Powiedz mi, czy jesteś tym, którego szukam?

Głowa roześmiała się piskliwie, lecz groźnie.

— Jestem królem zła, moja droga. Jestem władcą much.

— Belzebub...

— W kształcie tak, lecz nie w istocie. Włosy... czym są włosy? Jedynie odpadkami, ludzkimi resztkami. To moja siła nadaje im kształt, twarz i głos oraz wyznacza misję do spełnienia.

Chciałaś mnie zobaczyć, moja droga... więc oto jestem!

— Odejdź! — Panna Paleforth rzuciła garść soli wprost w twarz zjawy. Rozległ się trzask, błysnęły niebieskie płomyki, ale głowa tylko się roześmiała, tym samym ohydny, lubieżnym śmiechem, który Kelly zapamiętała z poprzedniej wizyty w piwnicy.

— Wypędzam cię w głąbie piekieł, z których przyszedłeś! — W głosie panny Paleforth wyraźnie słychać było histerię. — Wypędzam cię, wypędzam, wypędzam!!!

— Nie przybyłem tu z piekła — odparł Belzebub. — W każdym razie nie wprost z piekła. Byłem niegdyś dziecięciem niebios. I pewnego dnia, dzięki pomocy ludzi, zwykłych mężczyzn i kobiet, znów tam powrócę. Znów zasiądę wśród aniołów, na przeznaczonym mi tronie.

Kelly ścisnęła Neda za ramię tak mocno, że musiał siłą rozewrzeć jej palce.

— To nieprawda... nieprawda — szepnęła. — Ned, powiedz mi, że śnię. Że to koszmar.

— Jeśli tak, jest to nasz wspólny koszmar — powiedział cicho chłopak.

— Wypędzam cię, zły duchu! — krzyknęła do Belzebuba panna Paleforth. — To miejsce jest czyste, wolne od twojej ohydnej obecności. Musisz odejść! I nie wrócisz tu nigdy!

— Nie masz tyle mocy, żeby mnie wygnać, moja droga — odparł spokojnie Belzebub. — Jestem tu, ponieważ we mnie wierzą. — Włochate usta rozchyliły się w okrutnym uśmiechu, ukazując włochate zęby, spomiędzy których wysunął się włochaty język. — Nie pocałujesz mnie? Czyż nie mówi się, że miłość wszystko zwycięży?

Panna Paleforth cisnęła we włochatego stwora reszką soli, ale on znów tylko się roześmiał. A potem uniósł głowę na grubej jak cielsko pytona, wydłużającej się szyi i kołysząc się niczym wąż, zaczął powoli przesuwać się w ich stronę. Jego ślepia były rozwarte, wargi nadal rozchylone.

Panna Paleforth stała nieruchomo jak sparaliżowana. Była blada jak śmierć.

— Uciekajmy! — krzyknął Ned, łapiąc ją za ramię. — Oprzytomniej, kobieto! Kelly, rusz się, proszę! Musimy uciekać!

Ale panna Paleforth, zahipnotyzowana spojrzeniem Belzebuba, patrzyła na niego, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

131

— Uciekajmy! — powtórzył Ned.

Szyja Belzebuba stawała się coraz dłuższa, jego głowa sięgała już niemal sufitu.

Pobiegli po schodach najszybciej, jak potrafili. W połowie drogi panna Paleforth poślizgnęła się i upuściła swoją torbę; wysypały się z niej grzebienie, spinki do włosów, koraliki, drobne monety i puderniczka. Oddychając ciężko, próbowała pozbierać rozsypane drobiazgi, ale Ned krzyknął: „Zostaw to, kobieto!” — i niemal siłą wciągnął ją na górę. Głowa Belzebuba zbliżała się do nich niebezpiecznie, w jego ustach pojawiły się ostre jak brzytwa zęby.

Cała trójka zdołała jednak uciec do salonu i zatrzasnąć za sobą drzwi.

Stali w milczeniu, patrząc na siebie i oddychając ciężko.

— I co teraz? — przerwała ciszę Kelly. Panna Paleforth opadła na jeden z foteli.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem — wyznała. — Najwyraźniej brakuje mi sił, by go wygnać. Słyszeliście, co powiedział, prawda? „Jestem tu, ponieważ we mnie wierzą”. Ten, kto go przywołał, obojętnie kim jest, głęboko w niego wierzy, tak mocno, że powołał go do życia. Musimy znaleźć tego kogoś... i powstrzymać go.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości, że chodzi o Simona Crane'a — prychnął Ned. — Może i miał zadowalające policję alibi, ale jest przecież jedyną osobą, która znała i Richarda Walkera, i panią Marshall. Jeśli sam też zmienił się w jakiegoś włochacza, mógł wyjść z mieszkania tak, że nikt go nie zauważył, i dostać się zarówno do Walkera, jak i tutaj.

— Co o tym myślisz, Kelly? — spytała panna Paleforth.

— Nie potrafię uwierzyć w winę Simona — odparła z wahaniem dziewczyna — ale obawiam się, że Ned może mieć rację. Wśród nas nie ma nikogo, kto potrafiłby przywołać takiego ducha. Susan na pewno nie umiałaby tego zrobić. Ani Kevin.

— Masz słuszność. Jeśli to Crane, musiał zawrzeć z Szatanem pakt, który tylko on sam może zerwać. Tylko on jest w stanie wygnać Belzebuba.

— Ale jak mamy go do tego skłonić?

— Wątpię, by nam się to udało. Musiał mieć jakieś bardzo ważne powody, by przywoływać ducha tak groźnego jak Belzebub; jeśli nam odmówi pomocy, niewiele będziemy w stanie zrobić. Właściwie jedynym wyjściem byłaby jego śmierć.

— A gdyby tak odizolować go w jakiś sposób od świata?

— To mogłoby coś dać. Nie miałby dostępu do włosów, więc nie mógłby się zmieniać we włochatego potwora. A włosy są konieczne do przekształcenia się w demona.

— Nie ma pani chyba zamiaru porwać Simona Crane'a? — zaniepokoił się Ned. — Gdzie

mielibyśmy go trzymać? Wuj ma szopę na narzędzia, ale...

— Oczywiście, że nie mam zamiaru nikogo porywać. Ale możemy przecież udowodnić, że zamordował Richarda Walkera oraz panią Marshall, a wówczas policja załatwi tę sprawę za nas.

— Policji nie udało się mu niczego udowodnić, więc jak może się to udać nam?

— Wystarczy powiązać go tylko z jednym morderstwem — zauważyła rozsądnie Kelly. — Pamiętajcie, co mówiono o zabójstwie Richarda Walkera? Był szantażowany, ale włamano się do jego biurka i zabrano z niego wszystkie papiery i księgi rachunkowe. Szantażysta i morderca to prawdopodobnie jeden i ten sam człowiek. Zabił Walkera, bo nie chciał, by stylistka poinformowała policję, kim jest.

— A jeśli szantażystą jest Crane... — mruknął Ned, kiwając głową ze zrozumieniem.

— To bardzo prawdopodobne. Pracował u Walkera, kiedy oszpecono Chrissy Black, obcinając jej włosy. Jest duża szansa, że zachował jego papiery i księgi, że gdzieś je ukrył.

— Tu? W salonie? Naprawdę tak myślisz?

— Naprawdę to nie wiem — przyznała Kelly. — Ale chyba warto poszukać.

Przeszukali gabinet Simona, zaglądając do każdej szuflady i na każdą półkę, a nawet pod nie, ponieważ tam właśnie mogły być przyklejone skradzione papiery. Przeszukali szafkę z ręcznikami i podręczny magazynek. Nie zapomnieli także o pudełkach po herbatnikach i metalowej kasetce.

— Obawiam się, że nic tu nie znajdziemy — powiedział po półgodzinnych poszukiwaniach zrezygnowany Ned. — Jeśli Crane nie zniszczył tych papierów, to chyba trzyma je w domu.

— Gdyby mogły go obciążyć — zauważyła panna Paleforth — pewnie by je zniszczył, nie sądzicie?

— To oczywiście możliwe — przyznała Kelly. — Ale

Simon jest prawdziwym człowiekiem interesu...

jest doskonale zorganizowany i bardzo

systematyczny.

Zawsze

musi

mieć

wszystko

udokumentowane. Nie wyrzuca papierów.

— Dobrze, założmy więc, że je zachował. I co z tego?

— Wyjechał do Birmingham. Wróci dopiero jutro, warto o tym pamiętać. Możemy włamać się do jego mieszkania, znaleźć te papiery i po prostu je zabrać. W ten sposób zdobędziemy potrzebne nam dowody.

— Czyś ty oszalała, dziewczyno? Włamywać się do mieszkania kogoś, kto potrafi zmieniać się we włochatego potwora, zdolnego rozerwać człowieka na strzępy gołymi rękami?

— A masz lepszy pomysł?

— Możemy stąd wyjść, nigdy nie wrócić i zapomnieć, że coś takiego w ogóle się zdarzyło.

— Ale przecież się zdarzyło, Ned! Zginęli ludzie. I będą ginęli, dopóki nie pozbedziemy się tego stwora z piwnicy.

Ned położył obie dłonie na ramionach dziewczyny.

— Kelly, zbawianie świata to naprawdę nie twój obowiązek. Nie ty jesteś odpowiedzialna za świat.

— Nie zgadzam się z tobą, chłopcze — zaprotestowała panna Paleforth. — Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za świat. Naszym obowiązkiem jest go ratować, czy to przed zanieczyszczeniami, czy globalnym ociepleniem, czy awarią elektrowni atomowej, czy

pestycydami. Także przed złem. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za świat.

— Ale chyba nie powinniśmy podejmować pochopnych decyzji...

— Przykro mi, Ned. — Kelly wzruszyła ramionami. — Nie mamy wyboru.

135

Chłopak uniósł obie dłonie w geście poddania. — Rzeczywiście — przyznał. — Wygląda na to, że nie mamy.

Uzgodnili, że spotkają się o wpół do dwunastej. Wszyscy mieli coś do załatwienia. Ned odwiózł do domu pannę Paleforth, a potem miał pojechać na lotnisko Heathrow z wujem Seanem, który leciał do Dublina samolotem Air Lingus. Kelly musiała zająć się Isabel, przebrać się i zjeść kolację.

Panna Paleforth zatrzymała się przy furtce i spojrzała na Kelly, która wysiadła z samochodu, by ją wypuścić. Wróciła do niej, objęła ją i przytuliła mocno.

— Jesteś bardzo odważna — oświadczyła. — Nigdy cię nie zapomnę.

ROZDZIAŁ 13

Ned odwiózł do domu Kelly, no i oczywiście siedzącą na jej kolanach Isabel. Kiedy zatrzymał samochód, pochylił się i pocałował dziewczynę.

— Przestraszyłaś mnie, wiesz? — powiedział.

— Ja? Ciebie? Co ja takiego zrobiłam?

— Przecież mogliśmy spokojnie odpuścić sobie tego Belzebuba, prawda? Nie nasz ból, nie nasza sprawa. A ty chcesz włamywać się do mieszkania Simona Crane'a!

— Od początku podejrzewałeś, że to on jest mordercą. A ja się z tobą nie zgadzałam.

— To wiem. Ale myśleć i działać... o, to dwie zupełnie różne rzeczy.

— Ned... powinieneś zobaczyć, co on zrobił pani Marshall. Nie wolno nam dopuścić, żeby mu to uszło na sucho. Jak byśmy się czuli, oglądając w telewizji coraz to nowe ofiary?

— Masz rację, oczywiście. Będę piętnaście po jedenastej. — Chłopak pocałował ją jeszcze raz i dodał: — Jesteś niezwykłą dziewczyną, wiesz? Bardzo cię kocham.

137

Kelly oddała mu pocałunek. Uśmiechnęła się, ale nie powiedziała ani słowa.

— A to co? — spytała matka, gdy Kelly stanęła w korytarzu z kotem pod pachą. — Kolejna gęba do wyżywienia?

— Nie gęba, tylko kotka, mamusiu. Jest bardzo miła, ale nikt jej nie chce.

Isabel zeskoczyła na podłogę, podeszła do matki Kelly i zaczęła ją obwąchiwać.

— Chyba czuje ode mnie jedzenie.

— Nie, skąd, mamó. Po prostu cię polubiła. Ona wyczuwa różnicę między dobrem i złem.

— Jeśli tak, to może zostać. No co, kiciu? Masz ochotę na spodeczek mleka?

Po kolacji rodzina zasiadła przed telewizorem, a Kelly poszła do sypialni, by się przebrać.

Kiedy minęła jedenasta piętnaście i jedenasta dwadzieścia pięć, wystukała numer telefonu komórkowego Neda.

— ...stoję... — usłyszała słaby głos, z trudem przebijający się przez trzaski zakłóceń.

— Co się stało?

— ...samochód się zepsuł... Heathrow... to mi zajmie wieki...

— Zadzwoń do mnie, kiedy coś się wyjaśni. Do Simona musimy włamać się dzisiaj. Nie wiemy, kiedy znowu wyjedzie. To nasza jedyna szansa.

— ...zadzwonię i...

Kelly przerwała połączenie.

138

— Wszystko w porządku? — zawołała z dołu matka.

— Tak, mamó. W porządku.

Wybrała numer panny Paleforth, nikt jednak nie podniósł słuchawki. Usiadła i zapatrzyła się w swoją odbitą w wiszącym na korytarzu lustrze twarz. Zmarszczyła czoło. Nie mogła uwierzyć, by panna Paleforth tak ją zawiodła. Ale spotkanie z Belzebubem było naprawdę przerażające... każdym by wstrząsnęło.

Miała przed sobą dwie możliwości: albo z włamaniem do domu Simona i próbą odnalezienia jego korespondencji z Richardem Walkerem zaczeka do jutra, albo dziś wszystko będzie musiała zrobić sama — a to nie bardzo jej się podobało.

Zadzwoiła do Kevina.

— Kelly! — Chłopak najwyraźniej ucieszył się z jej telefonu. — Co u ciebie? Właśnie zastanawiałem się, czy obejrzeć ostatnie wydanie wiadomości, czy iść spać. Mam nawet niejasne wrażenie, że wybrałem.. i poszedłem spać.

— Nie masz ochoty na coś bardziej ekscytującego? — spytała Kelly i szybko, pragnąc uniknąć pytań, ale głosem tak spokojnym, jak to tylko było możliwe, wyjaśniła mu, co się stało w piwnicy.

— Nie nabierasz mnie przypadkiem? — W głosie Kevina brzmiało niedowierzanie. — Głowa z samych włosów?

— Wszyscy to widzieliśmy. Widzieliśmy i słyszeliśmy. I byliśmy tak przerażeni, że nawet nie potrafię ci tego opisać. Ale musimy pozbyć się tego zła. Jeśli nic z tym nie zrobimy, Simon będzie nadal zabijał. Zamorduje każdego, kto stanie mu na drodze.

— Ale żeby zaraz włamywać się komuś do domu... - A co innego możemy zrobić? Och, oczywiście,

możemy odwrócić wzrok i udawać, że nic się nie stało, prawda? Ale gdybyśmy tak się zachowali, jakimi bylibyśmy ludźmi? W naszym życiu pojawiło się zło rodem z piekła i musimy znaleźć w sobie siłę, by się go pozbyć. Kevin milczał przez dłuższą chwilę, a potem

powiedział:

— W porządku, masz rację. Podjadę po ciebie za dwadzieścia minut. Jak sądzisz, w co powinienem się ubrać?

— Coś czarnego. Nie zapominaj, że jesteśmy złodziejami.

Spotkali się przed Dalmeny Court kilka minut po pomocy. Deszcz niemal przestał padać, choć wieczór nadal był wilgotny i zimny. Kevin miał na sobie czarną bluzę z grubego sztruksu i czarne spodnie od dresu. W torbie — reklamówce Tesco — przyniósł duży śrubokręt i latarkę.

— Czuję się jak Arsen Łupin, dżentelmen włamywacz — powiedział wesoło.

Kelly, która założyła czarną nylonową kurtkę, krótką czarną sukienkę i grube czarne pończochy, uśmiechnęła się.

— A ja mam wrażenie, że jest Halloween i idę na dyskotekę.

Przeszli przez ruchliwą ulicę i półkolisty podjazd. Kilka schodów prowadziło do jasno oświetlonego holu, w którym stało biurko ochroniarza. Na biurku dostrzegli na pół opróżniony styropianowy kubek kawy, w popielniczce dopalał się papieros, a obok leżał program wyścigów. Na ekranie monitora zawieszono nad biurkiem ochroniarza

140

Kelly i Kevin zobaczyli samych siebie, rozglądających się dookoła.

— Nagrali nas — zaniepokoił się Kevin. — Nie mamy szans.

— Jeśli znajdziemy te papiery, nie będzie to miało żadnego znaczenia, prawda? Nikt nie oskarży o kradzież z włamaniem ludzi, którzy odkryli tajemnicę dwóch potwornych morderstw.

— No... chyba rzeczywiście masz rację. Wybacz, ale nie jestem za bardzo przyzwyczajony do łamania prawa, więc nie myślę jasno. A poza tym mam problemy z oddychaniem.

— Wzięłaś ze sobą inhalator?

— Wziąłem, wziąłem. — Kevin poklepał kieszeń na piersi.

Odczekali chwilę, ale ochroniarz się nie pojawił. Powoli, ostrożnie przeszli do wind i wcisnęli przycisk. Wydawało im się, że czekają wieki, a gdy wreszcie kabina znalazła się na dole, Kevin usłyszał odgłos kroków, dobiegających z przeciwległej strony wyłożonego marmurem holu.

— Stójcie! Poczekajcie! — zawołał jakiś głos. Pojawił się ochroniarz z wielkim brzuchem, w luźnych spodniach i okropnie skrzypiących butach na wielkich stopach. Podbiegł do drzwi windy i przytrzymał je z taką siłą, że aż zatrzęsała się kabina.

— Hej, proszę pana... — zaprotestowała Kelly. — Jesteśmy przyjaciółmi Simona Crane'a.

— Pana Crane'a nie ma. Wróci jutro wieczorem.

— Powiedział, że możemy się u niego przespać, jeśli nie znajdziemy lepszego miejsca. — Kelly pokazała grubasowi klucz od tylnego wejścia do Sizzuz.

141

Zanim mężczyzna zdołał skupić na nim spojrzenie, wrzuciła go z powrotem do torebki.

— No dobrze... Proszę podać nazwisko. Wpiszę je do książki odwiedzających.

— Liam i Patsy Gallagher — powiedziała Kelly bez chwili wahania.

— Aha. Dobrze, doskonale. Kiedy pan Crane wróci, powiem mu, że śpicie państwo w jego mieszkaniu, żeby was nie przestraszył.

— To bardzo miło z pana strony — odparł Kevin. Ale ochroniarz nie odchodził. Gapił się na nich, jakby spodziewał się napiwku.

— Doprawdy, jest pan niezwykle uprzejmy — powtórzył chłopak i wcisnął przycisk najwyższego piętra.

— Jak myślisz, podejrzewa coś? — spytała Kelly, kiedy drzwi się zamknęły i winda ruszyła w górę.

— Pewnie tak. Przecież wiesz, jacy są ochroniarze. Nic im nie sprawia większej radości niż zatrzymanie ubogiej staruszki, wynoszącej z supermarketu pod swetrem pudełeczko mielonego mięsa zapiekanego z ziemniakami, choć wiedzą, że następnego dnia, kiedy minie data ważności, cała dostawa powędruje do śmieci.

— Jesteś wojującym ekologiem czy co? — zdziwiła się Kelly.

— Oczywiście, że nie. Po prostu obchodzą mnie ludzie. Jak myślisz, dlaczego przyszedłem? Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Masz więcej zalet, niż można dostrzec na pierwszy rzut oka — oświadczyła.

Kevin poklepał się po swoim okazałym brzuszku.

— Mam nadzieję, że nie mówisz o tej zalecie!

142

Drzwi mieszkania numer 1013, należącego do Simona Crane'a, pomalowane były na pomarańczowo. Zatrzymali się przed nimi, nad słuchując, ale nie usłyszeli żadnych hałasów, głosów ani muzyki, nawet dźwięku przyciszonego telewizora.

— Miałaś rację — powiedział Kevin. — Nikogo nie ma w domu. Spróbuję wyważyć drzwi.

Wyjął wielki śrubokręt i już miał wcisnąć go w szczelinę między drzwiami a framugą, kiedy rozległ się cichy dzwonek, otworzyły się drzwi windy i wysiadła z niej kobieta pod pięćdziesiątkę, ubrana w czarne futro, prowadząca na czerwonej smyczy chudego pudła.

Miała zaczerwienioną i lekko spuchniętą twarz; najwyraźniej zbyt intensywnie opalała się w salonie kosmetycznym.

— Dobry wieczór — powiedziała, mijając ich. — Mam nadzieję, że nie zrobicie takiego hałasu, jak wczoraj w nocy. Ta okropna muzyka: „bum, bum, bum”... I krzyki. Brzmiało to tak, jakbyście kogoś mordowali.

— Ależ skąd, nie mamy takich zamiarów — odparł Kevin z uśmiechem. — Zamierzamy spędzić spokojną noc, pooglądać znaczki pocztowe...

Kobieta spojrzała na niego nieufnie podpuchniętymi oczami. Po chwili odeszła, ciągnąc za sobą swojego psa.

— Jeden Bóg wie, co planuje Simon — westchnęła Kelly. — No już, bierz się do roboty, lada chwila znów ktoś się może pojawić.

Kevin wsunął śrubokręt pomiędzy skrzydło drzwi i framugę i wbił go głęboko uderzeniem nasady dłoni. Pociągnął za rączkę, pchnął ją, rozległ się trzask, zamek puścił nagle i drzwi stanęły otworem.

Kelly rozejrzała się po korytarzu, sprawdzając, czy nikt się im nie przygląda, po czym szybko weszła do środka. Kevin deptał jej po piętach. Mimo uszkodzonego zamka udało mu się zatrzaskać drzwi.

Włączyli światło. Mieszkanie Simona było duże, ale wydawało się dziwnie puste: gładkie białe ściany, gładka czarna wykładzina na podłodze. Umeblowanie także było bardzo skąpe: szwedzka kanapa, niski japoński stolik, czarno-białe poduszki rozrzucone po podłodze, drogi system stereo Bang & Olufsen i wysoka czarna japońska waza ze sztuczną lilią.

Podobnie wyglądała sypialnia, w której znajdował się tylko rzucony na podłogę materac i wiszący na ścianie obraz: czarny kwadrat z karmazynową plamką w jednym z rogów. Ale za sypialnią Kelly odkryła mały gabinet. Na biurku stał tam komputer, a obok pięć szafek na akta, oznaczonych schludnie wypisanymi kartonikami: „Korespondencja A-Z”, „Faktury”, „Księgi »Sizzuz«” i tak dalej. Dolna szuflada ostatniej szafki po prawej stronie oznaczona

była naklejką „Różne”.

— Zaczniemy tutaj — zdecydowała dziewczyna. Kevin pociągnął za uchwyt. Bez skutku.

— Nie da się — mruknął, rozkładając ręce.

— Nie da się? A to niby czemu? Poradziłeś sobie z frontowymi drzwiami, a z byle szufladą sobie nie poradzisz?

— No, nie wiem... przecież to już byłoby włamanie...

— Kevin, przestań się wygłupiać. To, co zaraz zrobisz, wcale nie byłoby włamaniem, tylko będzie włamaniem, zwyczajnie i po prostu. Zresztą przecież już się włamaliśmy do mieszkania. A teraz może wzięłbyś się wreszcie do roboty... i obyś zrobił ją dobrze!

Chłopak milczał przez chwilę.

— Pewnie masz rację — przyznał w końcu. — Jeśli

144

mają cię za coś wsadzić, niech to raczej będzie niezapłacony rachunek za pięciodaniowy obiad w Savoyu niż za dorsza z frytkami z przydrożnej knajpy. Kelly potrząsnęła głową.

— Coraz trudniej odróżnić cię od mojego ojca — mruknęła.

Kevin wsunął śrubokręt między ramę szafki i krawędź szuflady. Po chwili wysunął szufladę i położył ją na biurku.

— Masz te swoje „Różne” — powiedział z dumą. W szufladzie było mnóstwo mniej lub bardziej ważnych

papierzysk: wycinki prasowe, ulotki reklamowe i broszurki, rachunki z okolicznych restauracji, kwity za benzynę, reklamówki wiejskich zajazdów i hoteli. Pod tymi wszystkimi śmieciami Kelly znalazła plastikową koszulkę. Ujęła ją jak policjanci, których widziała w telewizyjnych serialach: paznokciami za sam brzeg, by broń Boże nie zatrzeć możliwych odcisków palców.

W koszulce znajdowało się kilka kartek papieru, zapisanych schludnie i czytelnie rzędami cyfr. Ale to nie cyfry przyciągnęły uwagę dziewczyny, lecz pokrywające przezroczysty plastik krwawe odciski palców. Krew wyschła już, pozostawiła jednak wyraźne ślady.

— Bingo! — ucieszyła się Kelly i ostrożnie wyjęła pierwszą kartkę papieru. — Tylko popatrz, co tu mamy: „Płatności dla Simona Crane'a, dotyczące sprawy Chrissy Black". A sporo mu zapłacili: dwadzieścia pięć tysięcy funtów na start i potem cztery tysiące pięćset miesięcznie.

— Pewnie z tego zaczął Sizzuz — mruknął Kevin. — Richard Walker sfinansował go i w dodatku płacił bieżące rachunki.

Sizzuz miało być wielkim przedsięwzięciem franchisingowym, obejmującym cały kraj, ale problem

145

w tym, że Simonowi nie udało się utrzymać otwartych pod nazwą firmową zakładów. Za wiele się spodziewał, za wiele oczekiwał. Każdy nowy zakład Sizzuz miał mu płacić osiemdziesiąt procent od przychodu. Pomysł był dobry, ale on sam go zniszczył. Przez zachłanność. Kelly wsunęła kartkę z powrotem do koszulki.

— No, nareszcie mamy co pokazać policji. Jeśli są tu odciski palców Simona, a ta krew to krew Richarda Walkera, można będzie udowodnić, że Simon winien jest obydwu morderstw.

Wepchnęli szufladę na miejsce, maskując ślady włamania, choć było to trudne, bo Kevin nieźle pogiął blachę. Wyłączyli światła i zamierzali wyjść, ale zanim doszli do dużego pokoju, usłyszeli, jak otwierają się drzwi frontowe.

— Ciii! — syknął Kevin, wciągając Kelly w cień za skrzydło drzwi do łazienki.

Oboje wstrzymali oddech; czekali i nasłuchiwali. Minęła bardzo długa chwila, nie usłyszeli jednak nic, nawet najcichszego dźwięku.

— To pewnie wiatr — szepnęła Kelly.

— Ciii...

Znów zapadła cisza, którą po kilkunastu sekundach przerwał trzask czegoś rozbijającego się o podłogę w dużym pokoju — wazy, jakiegoś elementu dekoracyjnego lub czegoś w tym rodzaju. Potem usłyszeli szelest, jakby ktoś odgarniał coś z drogi, i po chwili rozległ się niski charkot.

— Tam ktoś jest — szepnął Kevin.

— Ktokolwiek by to był, możemy przecież uciec...

— A warto? Lepiej przeczekać. Może to tylko ochrona?

146

Nagle zgasły wszystkie światła. Mieszkanie pogrążyło się w całkowitej ciemności, tylko przez drzwi sypialni wpadał do środka wąski srebrzysty promień księżyca. Kelly i Kevin czekali. Dziewczyna była niemal pewna, że słyszy szelest szponów, przesuwających się po wykładzinie. I wydawało jej się, że czuje obrzydliwy, mdlący zapach, przypominający fetor rozkładających się kurczaków, marynowanych w zgniłej wodzie po kwiatach.

Niski stolik przewrócił się z hukiem.

— O Boże, a to co takiego? — szepnęła Kelly. — Boże, tylko nie...

— Niemożliwe... — Kevin zadrżał. — Przecież nie wiedział, że tu przyjdziemy, prawda? Nie mógł wiedzieć. No już, najlepsze, co możemy zrobić, to uciec jak najszybciej, póki jeszcze mamy szansę. Dobiegniemy do drzwi i zbiegniemy po schodach, zanim to coś mrugnie okiem.

— No dobrze. — Kelly chwyciła go za rękę. — Uważaj... raz... dwa... trzy... — zawahała się na chwilę, nim krzyknęła cicho: — Już!

Trzymając się za ręce, wyskoczyli z sypialni i przebiegli przez duży pokój, ale okazało się, że

poruszali się zbyt wolno, a na ucieczkę było o wiele za późno, bo w tym momencie skoczył ku nim czarny cień i Kelly poczuła, że coś zatrzymuje Kevina, wrywa jego dłoń z jej dłoni. Usłyszała paniczny okrzyk „Ratunku!”, upadła na bok i uderzyła plecami o poręcz kanapy. — Ratunku! Chwyć mnie! Pomocy! — wrzeszczał Kevin.

Kelly słyszała, jak jego stopy bębnią o ścianę, widziała trzymającą chłopaka niewyraźną postać, czarną, włochatą,

147

o nieokreślonym kształcie i tak straszliwie śmierdzącą, że ogarnęły ją mdłości.

Była przerażona. Instykt podpowiadał jej, że musi uciekać, Kevin jednak nadal krzyczał, jego stopy nadal bębniły w ścianę; wiedziała, że nie może go opuścić.

Podbiegła do włącznika światła i zaczęła pstrykać nim raz za razem, ale światło się nie zapaliło. Chłopak dławił się, rzeził. Kelly okrążyła kanapę i chwyciła włochate ramię, grube i szorstkie; samo dotknięcie go spowodowało, że znów zebrało jej się na wymioty. Kevin jednak oddychał coraz ciężiej i coraz bardziej chrapliwie, więc zacisnęła dłoń i pociągnęła najmocniej, jak potrafiła.

Włochaty potwór całkowicie zlekceważył jej atak. Machnął potężną łapą, jakby oganiał się od komara, i uderzył, trafiając ją w skroń; cios był tak silny, że dziewczynie zakręciło się w głowie i zadzwoniło w uszach. Poleciała do tyłu, uderzyła w ścianę i poczuła ból; karkiem trafiła w niski barek, stojący w rogu.

— Duszę... się... — charczał Kevin.

Kelly, próbując wstać, straciła z barku butelkę wódki. Nagle przypomniała sobie pannę Paleforth i szklanekę płonącego rumu. „Ogień lub huragan; tylko w ten sposób można pozbyć się szatańskich włosów”.

Ogień miała w zasięgu ręki, bo na barku stała popielniczka, a przy niej pudełko zapalek.

Chwyliła butelkę, podeszła do wielkiego włochatego stwora, ale tak, by trzymać się poza zasięgiem jego łap. Kevin nie krzyczał już, rozpaczliwie walczył o oddech. Nagle rozległ się trzask, a potem chłopak jęknął z bólu. Pewnie ten potwór złamał mu żebro, pomyślała Kelly. — Wyganiem cię! Wyganiem! Wyganiem! — zaczęła krzyczeć, naśladując pannę Paleforth najlepiej, jak po-

148

trafiła. Jednocześnie oblała wódką potwora: jego głowę, ramiona i plecy.

Stwór warknął gniewnie, ochryple; brzmiało to tak, jakby odezwało się kilka głosów jednocześnie. Kelly rozpoznała w jednym z nich głos Simona, inne były jednak znacznie groźniejsze, bardziej niesamowite, nieludzkie. Odrzuciła pustą butelkę, złapała zapalki i zapaliła je wszystkie naraz.

Rozbłysnął pomarańczowy płomień. Dopiero w jego świetle zobaczyła, jak straszny jest Belzebub. Głowa, którą widziała w piwnicy, składała się wyłącznie z włosów, a ten stwór miał także karmazynowe ślepia, pysk pełen zębów ostrych niczym stalaktyty i wielki jęzor, przesuwający się z jednej strony pyska na drugą jak język węża.

Wyciągnął ku niej łapę, zakończoną skórzastymi paluchami i wygiętymi szponami. Kelly czuła się jak dziecko zakłęte w koszmarze. Oto w końcu rzeczywiście spotkała potwora czającego się pod łóżkiem. Naprawdę spotkała się z potworem ukrywającym się w szafie.

Bała się tak straszliwie, że omal nie zapomniała, co ma zrobić. Znieruchomiała, trzymając w dłoni płonące zapalki, nie była w stanie się poruszyć.

Oprzytomniała, kiedy Kevin wyrzucił przez zaciśnięte gardło: „On mnie zabija...”. Drgnęła, cisnęła płonące zapalki na włochatego stwora i cofnęła się chwiejnie o dwa, trzy kroki.

Potwór zapłonął żywym ogniem. Odrzucił łeb i ryknął obrzydliwym chórem zmieszanych głosów, ale płonący alkohol stłumił jego głos, otaczając go od stóp do głów niebieskim

płomieniem.

Kevin wrzasnął głośno.

149

— Uciekaj! — krzyknęła Kelly. Widziała jego nogi, kopiające ścianę; stwór jednak wcale nie zamierzał puścić chłopaka i ścisnął go jeszcze mocniej.

Kelly przeskoczyła przez kanapę i złapała Kevina za lewą rękę. Włochacz buchnął ogniem, pomarańczowe iskry płonących włosów tryskały w powietrze. Było tak gorąco, że Kelly musiała osłonić twarz wolną ręką. Kevin szarpał się w uścisku płonących żywym ogniem ramion, wyjąc przeraźliwie. Jego sweter płonął, płonęły także jego włosy. Walczył rozpaczliwie, choć płomień palił mu twarz i dłonie — ale wciąż nie mógł się uwolnić. Smród płonących włosów stawał się nie do zniesienia, pokój wypełnił się dymem, wyciskającym łzy z oczu.

— Ratunku! — rzeźił Kevin. — Pomóż mi... co za straszny ból...

W tym momencie drzwi do mieszkania otworzyły się szeroko, wpuszczając do środka falę świeżego, chłodnego powietrza. Stała w nich starsza pani z sąsiedniego mieszkania.

— Pożar! Pożar! — krzyknęła.

Dopływ świeżego powietrza sprawił, że płomień rozgorzał z nową siłą i skoczył w górę, sięgając sufitu. Kevin wraz z włochatym potworem zniknęli w kolumnie ognia.

Starsza pani ukryła twarz w dłoniach, cofnęła się i zatrzasnęła drzwi, ale co się stało, odstać się nie mogło.

Krzyki Kevina umilkły, w ciszy słyhać było jedynie trzask ognia, tak potężnego, że nie sposób już go było ugasić.

Kelly cofnęła się i oparła o ścianę. Przerazona, patrzyła na szalejące płomienie. Osłaniała dłońmi usta i nos, lecz mimo to dusiła się od śmierdzącego dymu.

Po dwóch, może trzech minutach płomień przygasł i zobaczyła Kevina, martwego, z czarną, spaloną twarzą, nagą, czerwoną czaszką i ubraniem zamienionym w dymiący popiół. W ostatnim błysku ognia zobaczyła także Simona, trzymającego zwęglone ciało chłopaka. Był jedynie nieco zaczerwieniony, podobnie jak jej ręka, gdy panna Paleforth wypaliła na niej szatańskie włosy.

Pokój pograżył się w ciemności. Kelly stała nieruchomo, ze strachu niezdolna nawet odetchnąć głębiej. Po chwili usłyszała łomot — to Simon upuścił ciało — a potem kroki i trzask otwieranych drzwiczek oraz wysuwanych szuflad w sypialni.

Powoli, bardzo powoli ruszyła w kierunku drzwi. Starła się uważać, nie chciała w ciemności nadepnąć na martwe ciało Kevina. Kiedy udało jej się okrążyć kanapę, nagle w mieszkaniu zapłonęło światło i pojawił się Simon, ubrany w czarny sweter z golfem i czarne sztruksowe spodnie. Bez peruki wyglądał jak rozwścieczone dziecko.

— Wiesz, co zrobiłaś?! — syknął. — Ośmieliłaś się sprzeciwić jednej z największych potęg na ziemi i osiągnęłaś tylko tyle, że zabiłaś swojego przyjaciela.

Kelly usłyszała narastający dźwięk syren; samochody policyjne były już zaledwie dwie, może trzy przecznice od domu Simona. Drżała tak, że nie była w stanie mówić. Nie ośmieliła się spojrzeć na spalone ciało Kevina.

— Miałem wobec ciebie świetne plany — mówił Simon. — Z pomocą Belzebuba wybudowałbym prawdziwe imperium, a ty miałaś w tym uczestniczyć. Nikt by nas nie powstrzymał, nikt nie ośmieliłby się stanąć na naszej drodze. Ale nie, musiałaś wetknąć nos w nie swoje sprawy i wszystko popsuć. Kim jest dla ciebie Richard Walker? Co cię obchodzi jego śmierć? Przecież nawet go

nie znałaś. A pani Marshall? Sądziłaś, że jest taka ważna? Bez takich jak oni świat jest znacznie lepszym miejscem. Syreny wyły coraz głośniejsze, Kelly słyszała też kroki na korytarzu.

— Jesteś skończony — powiedziała śmiało. — Mordowałeś z zimną krwią, ale teraz jesteś skończony!

— Nic mi nie grozi, dopóki będę miał po swojej stronie Belzebuba. Ciebie jednak na pewno spotka coś złego... Pewnej nocy, gdy będziesz się tego najmniej spodziewała, znajdę cię, Kelly O'Sullivan, i za to, co mi zrobiłaś, wyrwę ci serce z piersi. Możesz to uznać za obietnicę.

W tym momencie do mieszkania wpadł dozorca i pięciu mężczyzn, wszyscy z gaśnicami w dłoniach.

— Mój Boże... — wysapał dozorca, mrużąc szczypiące od dymu oczy. — Co tu się stało?

— Rozpętało się piekło na ziemi — odparł Simon, minął go i ruszył w kierunku drzwi.

— Zatrzymajcie go! — krzyknęła Kelly, ale nikt nie zrozumiał, o co jej chodzi.

Przebiegła między dwoma zdumionymi, oszołomionymi mężczyznami i wyskoczyła na korytarz, na którym roило się od strażaków. Simon jednak znikł już w tłumie, nie pozostał po nim nawet najmniejszy ślad.

Do Kelly podeszła jakaś kobieta i narzuciła jej na ramiona różowy koc.

— Cała się trzęsiesz, kochanie — powiedziała ze współczuciem. — Chodź do mnie, napijemy się herbaty.

ROZDZIAŁ 14

Detektyw Brough spotkał się z Kelly przy wąskim strumyku, płynącym przez miejscowy park. Był pogodny, chłodny ranek, wiał wiatr od morza i do parku przyleciało mnóstwo mew. Trzej mali chłopcy usiłowali wyciągnąć ze strumienia sklepowy wózek, próbując nie

zamoczyć przy tym butów.

— Jak się czujesz? — spytał policjant. Towarzyszący mu sierżant został przy samochodzie i pożywiał się chipsami.

— Boję się — przyznała Kelly. — Prędzej czy później Simon mnie dopadnie. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

— W salonie się nie pojawił — stwierdził policjant. — Sprawdziliśmy jeszcze kilka adresów: matki, przyjaciół. Ale przyjaciół miał niewielu.

— Bardzo chciałam pojechać do rodziców Kevina, powiedzieć im, jak mi przykro, ale nie ośmieliłam się wyjść z domu...

— I dobrze. Postąpiłaś bardzo rozsądnie. Nie wiem, czy wierzę w tę historię z Belzebubem, ale Simon Crane z całą pewnością jest groźnym bandytą.

153

— Sprawdził pan odciski palców? Czy to on zamordował Richarda Walkera?

— Odpowiedź na oba pytania brzmi „tak”. Nie wiemy, czy na koszulce z papierami była krew Walkera, ale grupa się zgadza. Wysłaliśmy próbki na test DNA. Kiedy dostaniemy wyniki, będziemy mieli absolutną pewność. Sprawdziliśmy także konto Crane'a. To on szantażował Walkera. Wyciągnął od niego trzysta czterdzieści pięć tysięcy funtów.

Podbiegł do nich jakiś kundel, płosząc mewy, które wzbiły się w powietrze, protestując wrzaskliwie. Detektyw przyjrzał się ptakom, osłaniając oczy dłonią.

— Wiesz, co mówiła mi babcia? Że mewy to duchy żeglarzy, którzy utonęli na morzach i oceanach. To dlatego ich głosy zawsze brzmią tak smutno. Bo już nigdy nie wrócą do domu.

— A jak pan sądzi, kiedy ja będę mogła wrócić do domu? — spytała Kelly.

— Musisz poczekać, aż złapiemy tego łobuza. Na razie zostań u ciotki. Wytrzymasz jeszcze trochę, mam nadzieję?

— Wytrzymam. Tylko że cały świat zawalił mi się na głowę. Pan to z pewnością rozumie.

Przeze mnie zginął Kevin, musiałam wyprowadzić się z domu i nie mam już pracy.

Detektyw Brough pokiwał głową.

— Najważniejsze, żebyśmy go znaleźli — powiedział. — Bo przecież on chce się na tobie zemścić, prawda? Poza tym wie, że jesteś jedynym świadkiem tego, co naprawdę zdarzyło się w jego mieszkaniu i co spotkało Kevina. Oczywiście mamy mnóstwo dowodów pośrednich, ale z pewnością lepiej byłoby, gdyby sędziowie przysięgli wysłuchali relacji, że tak powiem, z pierwszej ręki.

. — Brough sięgnął do kieszeni. — Chcesz cukierka na kaszel? — spytał.

— Nie, dziękuję. A co pańskim zdaniem powinniśmy zrobić, żeby go znaleźć?

Detektyw wrzucił cukierek do ust i przesunął nim po zębach.

— Na razie nie wiem — przyznał. — Musimy go jakoś wywabić z kryjówki. Nie zaryzykuję niczego, co mogłoby ci zagrozić, nie pozwolę mu jednak uciec. Jeśli nie złapiemy go teraz, następnym razem będzie dwa razy ostrożniejszy. A ty przez cały czas jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. — Possał cukierek i dodał: — Ale wspólnie coś chyba wymyślimy, prawda?

Wieczorem przyjechał do niej Ned. Od trzech dni, czyli od śmierci Kevina, Kelly mieszkała ze starszą siostrą ojca, Edie, w jej domu na Roxbourne Road. Edie była wdową, bardzo porządną i kapryśną starszą panią, przywiązaną do swojego trybu życia. Ściany jej dużego pokoju zdobiły gipsowe kaczki, a pojemnik na papier toaletowy był figurką damy w krynolinie.

Ned sprawiał wrażenie zmęczonego. Pocałował Kelly i pomachał siedzącej w kuchni cioci Edie.

— Salonem zajęła się rada dzielnicy — powiedział. — Z piwnicy wywieziono wszystkie

śmieci. Simon Crane już tam nie wróci. I Belzebub też.

— Spróbuj znaleźć włosy gdzieś indziej, gdziekolwiek. Musi.

— Policja ostrzegła właścicieli wszystkich okolicznych salonów fryzjerskich. Będą mieli oczy otwarte. Poza tym niewiele da się zrobić.

155

Przeszli do dużego pokoju i usiedli. Ned wziął Kelly za rękę.

— Włamywanie się do mieszkania Simona było szaleństwem — powiedział łagodnie.

— Wiem. Ale jak inaczej mogłam zdobyć dowody?

— Powinnaś poczekać na mnie. Ja bym cię obronił. Kelly potrząsnęła głową.

— Nie rozumiesz. Nie byłbyś w stanie mnie obronić. Kevin próbował i zobacz, co się z nim stało.

— Cóż, może podszedłem do całej tej sprawy od niewłaściwej strony? Może nie jesteś taką dziewczyną, za jaką cię miałem?

— Co to ma znaczyć?

— Sam nie wiem... Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłaś. Tak po prostu pojechać i włamać się do mieszkania Crane'a? Beze mnie?

Kelly pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Przecież miałaś zepsuty samochód — powiedziała uspokajająco, ale jednocześnie pomyślała, że Ned zachowuje się jakoś dziwnie, zupełnie tak, jakby z dnia na dzień stał się innym człowiekiem.

Po wyjściu Neda położyła się spać do wąskiego łóżka w małym, zagraconym pokoju gościnnym ciotki, w którym ściany zdobiła tapeta przedstawiająca sceny z Gwiezdných wojen, a z sufitu zwisała papierowa kaczka. Odsunęła zasłony i spojrzała na domy stojące tuż za granicą mikroskopijnego ogródka. Przez okno najbliższego z nich widziała małżeństwo

zmywające naczynia po kolacji w jasno oświetlonej kuchni. Za matowym okienkiem łazienki dostrzegła zamazaną postać, biorącą prysznic.

156

Mimo zasłoniętych okien widziała niebieskawy pobłysk telewizora.

Czuła się straszliwie samotna, wyłączona z codziennego rodzinnego życia. No i oczywiście bardzo się bała. Gdzieś tam, w ciemności nocy, poszukiwał jej włochaty stwór, który potrafił wspinać się po pionowych ścianach i chodzić po suficie. Pragnął dopaść jej tak bardzo, że niemal czuła jego nienawiść, niczym nagły spadek temperatury w pokoju.

Usiadła na łóżku i zaczęła przeglądać magazyny, które dała jej Siobhan. Znalazła w nich różne wersje powtarzanych do znudzenia artykułów: jak spodobać się chłopcu, jak odmienić swój wygląd dzięki makijażowi i fryzurze, jak rzucić chłopca, jak zmienić swoje życie w siedem i pół minuty. Przejrzała od deski do deski „Magazyn Fryzjerski” choć zastanawiała się, po co to robi, skoro straciła pracę. Ale na jednej z ostatnich stron znalazła artykuł o nagrodzie dla Najbardziej Twórczego Młodego Stylisty Roku — była to wycieczka dla dwóch osób do Chattington Manor Country House w Warwick-shire, przelot helikopterem, szansa pracy przy nowym filmie z Jamesem Bondem i narzędzia fryzjerskie warte pięćset funtów. Termin zgłaszania się kandydatów już minął. Zwycięzca (lub zwyciężczyni) miał polecieć do Warwick-shire w sobotę wieczorem, ale jego (lub jej) nazwisko zamierzano ogłosić dopiero w czwartek, na dobroczynnej kolacji w Londynie.

Kelly przeczytała ten artykuł dwukrotnie, po czym odłożyła magazyn. Co powiedział detektyw Brough? Chciał wywabić Simona z kryjówki w jakieś miejsce, z którego nie mógłby uciec. Co powiedziała panna Paleforth?

157

Ze diabelskich włosów można pozbyć się wyłącznie dzięki ogniovi lub huraganowi... No cóż,

spróbowała ognia i rezultat był tragiczny. Może więc nadszedł czas na huragan? Nie miała zamiaru pozwolić, by Simon Crane bezkarnie polował na nią do końca jej życia. Chciała być wolna — i będzie wolna.

— Rozumiesz chyba, że bardzo wiele ryzykuję — powiedział detektyw Brough, z którym rozmawiała przez telefon. — Mam nadzieję, że to rozumiesz. Załóżmy, że zrealizuję twój pomysł, a Simon Crane się nie pojawi? Będę miał szczęście, jeśli nie stracę pracy.

— Pojawi się, panie inspektorze. Jestem tego pewna. Zbyt mocno mnie nienawidzi, żeby nie spróbował mnie dopaść.

— Cóż... to rzeczywiście bardzo dobry pomysł, Kelly. Nikt z moich ludzi na to nie wpadł. Dobrze, spróbujemy. Oczywiście pod warunkiem, że zgodzi się na to twoja przyjaciółka Susan.

— Rozmawiałam z nią. Już się zgodziła.

— Czy wie, jakie jest ryzyko? Kelly spojrzała na Susan.

— Panie inspektorze, ona sama chce panu powiedzieć, że wie, co robi.

Susan podeszła i wzięła od niej słuchawkę.

— Czy mówię z detektywem Broughem? Tu Susan. Proszę mnie posłuchać... Kelly jest moją przyjaciółką, a Kevin był moim przyjacielem, więc zrobię wszystko, żeby Simon stanął przed sądem. Wszystko! Czy pan mnie rozumie?

158

— Rozumiem. I mam nadzieję, że wiesz, przeciwko jakiej potędze stajesz.

Informacja o wynikach konkursu pojawiła się na pierwszej stronie Hair Stylist, na piątej w Evening Standard i w całej prasie lokalnej; doczekała się nawet wzmianki w programie ITV London Tonight.

— Jeśli Simon Crane jej nie zauważy, to albo nie żyje, albo ukrywa się pod którymś łóżkiem

— oświadczył detektyw Brough.

Zwycięzczynią dorocznego konkursu na Najbardziej Twórczego Młodego Stylistę Roku została Susan Bright z salonu Sizzuz na Rayner's Lane. Najwyżej oceniono jej prace w stylu afrokaraibskim i azjatyckim, przede wszystkim tak zwaną ścinę, czyli krótką fryzurę z włosami przyciętymi pod kątem, przeznaczoną dla młodych czarnych dziewcząt.

Laureatka miała zamiar zabrać ze sobą na lot helikopterem i pobyt w hotelu swoją przyjaciółkę, młodszą stylistkę Sizzuz, Kelly O'Sullivan. Powiedziała dziennikarzom:

„Pragnę, żeby Kelly sama zobaczyła, co może osiągnąć. Chcę wiedzieć, czy nie zabraknie jej determinacji, wyobraźni i siły woli, by odnieść sukces”. Panna O'Sullivan odpowiedziała na to: „Jestem tak podniecona, że brak mi słów”.

Rozgłoszono, że helikopter wystartuje w sobotę o osiemnastej z Roxbourae Park.

Kelly spędziła sobotnie popołudnie, oglądając telewizję. Isabel siedziała obok, ani na moment nie spuszczając z niej wzroku.

159

— Coś się stało, kiciu? — zapytała ją dziewczyna. — Może masz złe przeczucia? Jeśli tak, to wierz mi, nie ty jedna.

Do drzwi zapukała ciocia Edie, a kiedy Kelly je otworzyła, ku swemu wielkiemu zdumieniu dostrzegła stojącą za nią matkę. Pani O'Sullivan podeszła, położyła dłoń na ramieniu córki i przyjrzała się jej twarzy, jakby chciała ją zapamiętać. Nie na kilka dni rozłąki, lecz na zawsze.

— Musiałam przyjść, kochanie — powiedziała. — Jesteś bardzo, bardzo dzielna.

— Nie miałam wyboru.

— Ależ oczywiście, że miałaś. Każdy z nas ma wybór i każdy dokonuje wyborów każdego dnia. Mogłaś przecież odwrócić się i odejść, pozostawiając sprawę policji.

— A co by było, gdyby policja nigdy go nie znalazła? Musiałabym wtedy spędzić całe życie,

zaglądając pod łóżko, do szaf i ciemnych kątów. Chcę wrócić do domu, mamó. Chcę wrócić do was. Dopiero teraz dowiedziałam się, co dla mnie znaczy rodzina.

Mama pocałowała ją i pobłogosławiła.

— Będę o tobie myśleć, skarbie. W każdej minucie każdego dnia.

ROZDZIAŁ 15

W sobotnie popołudnie padał deszcz, ale około czwartej niebo zaczęło się przejaśniać. O wpół do piątej w północnej części parku Roxbourne, gdzie wyznaczono lądowisko dla helikoptera, zaczęli gromadzić się ludzie. Zbudowano tam też prowizoryczną estradę, nad którą wisiał transparent głoszący, że tu właśnie odbędzie się wręczenie nagrody w dorocznym konkursie na najbardziej twórczego stylistę. Między drzewami rozwieszono czerwone, białe i niebieskie chorągiewki, zainstalowano sprzęt nagłaśniający i przygotowano pokaz laserowy. Z głośników płynęły dźwięki najnowszych przebojów muzyki pop.

Kelly przyjechała razem z detektywem Broughem nieoznaczonym policyjnym roverem.

Ubrana była w krótką, czerwoną sukienkę obszytą cekinami, a włosy spryskała szkarłatnym lakierem.

— Najważniejsze, aby dla wszystkich było jasne, że świętujesz — wyjaśnił jej detektyw Brough. — Musisz wyglądać tak, jakbyś nie spodziewała się żadnych problemów.

161

— A co będzie, jeśli rzeczywiście nie będziemy mieli problemów?

— Nic. Po prostu wraz z przyjaciółką przeleczysz się helikopterem, a potem odwieziemy cię do domu. Niestety, prawdziwą nagrodę dostanie prawdziwy zwycięzca.

— Szkoda — mruknęła Susan, która właśnie do nich podeszła. — Już prawie uwierzyłam, że to ja wygrałam.

Policjant położył jej dłoń na ramieniu.

— Jeśli nasz plan się uda, jeśli potrafiemy wykorzystać okazję, zyskasz znacznie więcej niż kolację z deserem i blaszany puchar za fryzjerskie osiągnięcia.

— Nie ma nic złego w byciu fryzjerką — obruszyła się Susan.

— Wiem. Nie powiedziałem, że jest. Ale w życiu każdego z nas przychodzi taka chwila, że możemy zrobić coś wielkiego, wyjątkowego... i ty masz teraz taką szansę.

— On się nie pojawi — szepnęła Susan do Kelly. — Założę się o wszystko, że Simon się tu nie pojawi.

Kelly rozejrzała się po rosnącym powoli tłumie, przyjrzała się chorągiewkom, reflektorom, migającym laserowym światłom. Pod pachą trzymała Isabel, podejrzliwą i czujną; kotka stuliła uszy i przyglądała się wszystkiemu ślepiami wielkimi jak spodki.

— Nie wiem, po co wzięłaś ze sobą tego kota — mruknęła Susan.

— Bo ten kot to jedyne stworzenie zdolne go wyczuć. Isabel wie, kim albo czym on jest.

— Naprawdę wierzysz w te wszystkie brednie? Wierzysz, że to się mogło zdarzyć?

— Susan, ja go widziałam na własne oczy! Widziałam,

162

jak płonął cały niczym pochodnia, a jednak wyszedł z ognia zdrów i cały, bez najmniejszego oparzenia. Ale Kevin...

— Wiem — przerwała jej przyjaciółka.

Kiedy rozmawiały, Isabel nagle zeskoczyła na ziemię i pobiegła w krzaki.

— Wróci — powiedziała Kelly. — Jest bardzo schludna, bardzo porządna... w sprawach osobistych.

Nieco po wpół do piątej rozległ się charakterystyczny łoskot silnika helikoptera. Wkrótce potem na tle ciemnego nieba rozbłyły światła pozycyjne. Ludzie cofnęli się, a elegancki czerwono-biały śmigłowiec przeleciał nisko nad domami stojącymi przy Roxbourne Park i

powoli opadł na wyznaczone lądowisko.

Detektyw Brough powiedział do policyjnego radia:

— Charlie Tango wylądował. Trzymajcie ludzi z dala od helikoptera. Tak, tak, za ogrodzeniem. Miejcie oczy otwarte, uważajcie, czy nie dzieje się coś niezwykłego, zwracajcie uwagę na każdy drobiazg. Jeśli usłyszycie krzyk, pędźcie w jego kierunku tak szybko, jak tylko poniosą was służbowe buty. Jeśli zobaczycie jakąś postać, wielką i włochatą niczym goryl, macie natychmiast atakować. Nie wolno wam nie docenić przeciwnika. Jest większy od największego goryla, silny i bezwzględny, a także bardzo inteligentny.

— Denerwuję się — przyznała Susan. — Denerwowałamby się nawet wtedy, gdybyśmy nie próbowali złapać Simona. To znaczy, gdybym rzeczywiście zdobyła tę nagrodę.

Pojawiło się kilku fotografów, zamierzających zrobić im zdjęcia.

163

— Dziewczyny, obejmijcie się... o tak, wspaniale! Ale uśmiechajcie się, uśmiechajcie.

Kochana, przecież zdobyłaś wielką, ważną nagrodę. To nie koniec świata!

Do Susan podszedł młody dziennikarz i spytał, czy mogłaby wyjawić mu jakiś sekret dotyczący fryzury Jamesa Bonda.

— Och... będzie w stylu raketowym, długa i ostra na końcu — odparła dziewczyna. — Trochę podobna do pańskiego nosa.

— Dopilnujcie, by pilot nie wyłączył silnika — przekazywał kolejne rozkazy detektyw Brough. — Helikopter musi być gotów do startu w każdej chwili. W kilka sekund!

Obie dziewczyny poprowadzono w stronę maszyny i ustawiono do zbiorowego zdjęcia z wydawcą i redaktorem naczelnym Hair Stylist, z odpowiedzialnym za promocję pracownikiem studia realizującego film o Bondzie oraz różnymi innymi specjalistami od promocji i reklamy. Tylko wydawca i redaktor naczelny wiedzieli, że to nie Susan wygrała

konkurs i o co w tej całej sprawie chodzi. I tylko oni nie uśmiechali się do obiektywu.

— On się nie pojawi — powtórzyła Susan, gdy podchodziły do helikoptera. Uderzył w niepowiew powietrza, wzbudzony przez obracający się ciągle wirnik, rozrzucając złotorude włosy Kelly.

— Musi się pojawić!

— Za wiele tu ludzi, za wiele świateł. Nie zaryzykuje.

— Musi — powtórzyła Kelly.

Z tłumu wybiegł Ned i z pochyloną głową przebiegł pod obracającym się leniwie wirnikiem.

— Kelly! Twoja mama powiedziała mi, że tu będziesz.

164

— Boisz się, że dziewczyny zgarną całą pulę?

— Wiedziałem, że nic cię nie powstrzyma. Jestem tu po to, by ci pomóc.

— Uważaj na łopaty wirnika, chłopcze! — krzyknął drugi pilot. — Jeśli się wyprostujesz, obetną ci głowę.

— Nie wiem, czy będziesz miał okazję... — powiedziała Kelly. — Nie sądzę, by coś z tego wyszło. Simo-na nikt nie widział, przynajmniej na razie, a my musimy już za chwilę startować, inaczej zorientuje się, że to pułapka.

Podszedł do nich detektyw Brough. Był zgarbiony i wyraźnie przygnębiony.

— Bardzo mi przykro. Wygląda na to, że Simon nie złapał przynęty. Zatoczycie koło nad parkiem, polecicie na lotnisko Northolt i pewnie tak to wszystko się skończy. Czeka tam mój samochód. Zabierze cię z powrotem do ciotki.

— Dobrze — westchnęła Kelly. — Szkoda, że nic z tego nie wyszło. Tylu ludzi jest w to zaangażowanych, a przez nas mają same kłopoty. — Rozejrzała się dokoła. — A gdzie Isabel? Przyniosłam tu moją kotkę. Czy ktoś ją widział?

— Poczekaj chwilę — powiedział uspokajająco Ned. — Zaraz znajdę ci tego zwierzaka. Nie martw się. Biegnij do helikoptera.

Kelly ścisnęła dłoń Susan, a potem razem, ramię w ramię ruszyły w kierunku otwartych drzwi. Drugi pilot wyskoczył z kabiny, aby im pomóc.

— Proszę tędy... tak... uważajcie na stopień. Kiedy Kelly już miała wejść do śmigłowca, z krzaków

wyskoczyła Isabel i schowała się za nią.

— Malutka, co się stało? O co ci chodzi?

165

Kotka wyprężyła ogon i cała zjeżyła się jak szczotka. Kelly podniosła ją, ale zwierzę wiło się w jej objęciach tak, że nie sposób było go utrzymać.

— Isabel... co z tobą, kochanie?

I nagle zgasły wszystkie światła. Cały park ogarnęła ciemność, rozległy się krzyki ludzi pragnących obejrzeć uroczystość. Mrok rozpraszały jedynie światła pozycyjne śmigłowca.

— Coś jest nie tak, Kelly — szepnął Ned. — Coś tu jest bardzo nie tak. Wskakuj do helikoptera.

— Ale co? Co się dzieje? — zaniepokoiła się dziewczyna.

— Nie wiem, ale ktoś... coś tu jest. Nie wiem kto, nie wiem co, ale wiem, że coś ci grozi.

W tym momencie Kelly dostrzegła ciemny kształt, przemykający wśród migających świateł, i od razu wiedziała, z kim będzie miała do czynienia. Rozpoznała pochylone szerokie bary i ciężkie włochate cielsko, a kiedy stwór podszedł bliżej, zobaczyła czerwony blask jego złowrogich oczu. Zbliżał się ku niej niczym burzowa chmura i po chwili usłyszała już jego głos, a raczej wiele głosów, spośród których dały się wyróżnić słowa: *Que le diable...*

Ned zareagował błyskawicznie. Skoczył w lewo, zrobił unik, skręcił w prawo i rzucił się

wprost na stwora. Kelly krzyknęła „Nie!” — spóźniła się jednak. Włochaty stwór odrzącił Neda jednym ruchem potężnego ramienia i chłopak przeleciał w powietrzu niemal dziesięć metrów, zanim bezwładnie upadł na trawę. Próbował się podnieść, ale głowa mu opadła i znieruchomiał.

— Wskakuj! — krzyknął do Kelly drugi pilot helikoptera.

166

— Nie zostawię Neda! — odkrzyknęła, po czym odwróciła się i oddała przyjaciółce kotkę.

— Zaopiekuj się nią — poprosiła. — Zaopiekuj się nią zamiast mnie.

— Wsiadaj do helikoptera — powiedziała błagalnie Susan, ale Kelly zatrzasnęła za nią drzwi kabiny, a do drugiego pilota krzyknęła:

— Startujcie! Ale powoli, bardzo powoli. Niech podmuch od wirnika będzie jak najmocniejszy.

— Nic nie słyszę! — Pilot odchylił jedną z zakrywających mu uszy słuchawek.

— Startujcie! — krzyknęła ponownie Kelly. — I zróbcie wiatr!

Nie wiedziała, czy została zrozumiana, ale pilot cofnął się do kabiny, a silnik ryknął ogłuszająco. Wirnik nad głową Kelly obracał się coraz szybciej; dziewczyna opadła na kolana, zasłaniając uszy dłońmi.

Włochaty potwór był już blisko. Widziała jego sylwetkę w migających czerwonych i białych światłach pozycyjnych. Poruszał się jednak powoli, bo wirniki maszyny wywołały prawdziwy huragan. Kelly miała wrażenie, że pęd powietrza lada chwila uniesie ją i rzuci przez park. Stwór zrobił krok, potem drugi i musiał się zatrzymać, bo helikopter wisiał tuż nad jego głową, unieruchamiając go niemal całkowicie. Liście, śmiecie i pył wirowały w wielkiej trąbie powietrznej. Helikopter wisiał zaledwie trzy metry nad ziemią, kołysząc się w przód, w tył i na boki i obracając powoli.

Kelly zdołała unieść głowę. Włochacz prawie już ją dopadł, ale teraz i on został rzucony na kolana. Twarz miał ukrytą w ciemności, lecz w błyskach światła śmigłowca widać było jego czerwono płonące ślepia i rekinie zęby. Darł ziemię pazurami, wyrywając kępy trawy; mimo 167

ogłuszającego łoskotu wirnika i ryku silnika maszyny słyszać było, jak dyszy, walcząc o oddech.

Dziewczyna próbowała się podnieść, ale pęd powietrza był zbyt silny. Upadła na ziemię.

Usłyszała głos potwora:

— Obiecałem ci, prawda? Obiecałem, że cię dopadnę... i dopadłem\

ROZDZIAŁ 16

Po chwili zaczął do niej podchodzić — powoli, bardzo powoli. W pewnym momencie z czubka jego głowy oderwał się kłak włosów, a potem odpadały kolejne — z policzków, czoła, brody.

— Rozerwę cię na strzępy — zawył, ale jego głos brzmiał teraz jakby mniej pewnie i już wcale nie zbliżał się do Kelly. Wbił pazury w ziemię, najwyraźniej pragnąc tylko jednego: utrzymać się tam, gdzie jest. Nad ich głowami nadal wisiał helikopter, wciąż obracając się powoli. Trawa chyliła się ku ziemi, a Kelly i Belzebub także.

Z grzbietu potwora odleciał wielki pęk kudłów, pęd powietrza zdarł też włosy z jego ramion.

Jaskrawoczerwony błysk ślepiów zbladł, wężowy jęzor stracił swój srebrzysty blask.

Włochaty stwór tracił coraz więcej sierści i po chwili Kelly zobaczyła wyłaniającą się spod niej twarz, rysy i całą sylwetkę Simona Crane'a.

Nadal był porośnięty włosem, nie przypominał już jednak bestii, którą wcześniej widziała.

Nie brakowało

mu jednak siły i kiedy próbowała odpełznąć od niego, złapał ją za rękę i przyciągnął. Wiła się, kopała, ale on uniósł głowę i wyszeptał jej do ucha:

— Nie powinienem cię przyjmować do pracy. Nie powinienem — syknął. — Wierzyłaś we mnie, i w tym problem. Każda inna pomyślałaby sobie, że jestem tylko koszmarem...

Dlaczego wybrałem właśnie ciebie? Popełniłem błąd. Kiedy mnie zobaczyłaś, wiedziałaś, że jestem jak najbardziej rzeczywisty.

Pęd powietrza zerwał już niemal wszystkie diabelskie włosy z jego ciała, ale Simon nadal mocno trzymał Kelly za rękę.

— Puść mnie! — krzyknęła.

— Nie chciałem przecież aż tak wiele... Wystarczyłaby mi odrobina sławy. Chciałem, żeby ktoś mnie docenił. Ja pracowałem z klientami, a Richard Walker zgarniał kasę. Pragnąłem tylko, żeby ktoś powiedział: „To styl Simona Crane'a". Ale kiedy moje modelki pojawiały się w gazetach, co o nich pisano? „Fryzura Richarda Walkera". Dziwi cię, że byłem zazdrosny?

Dziwi cię, że chciałem tego, co należało do mnie?

— To już koniec — oświadczyła Kelly. — Musisz pogodzić się z tym, że to już koniec.

— Tak sądzisz? Nie, koniec nastąpi, gdy Belzebub zajmie należne mu miejsce wśród aniołów niebios, a ci, którzy mu służą, otrzymają słuszną nagrodę.

— Opuść sobie, Simonie. Lada chwila będą tu policyjne psy.

Simon Crane spojrział przez ramię. Zbliżali się do nich trzej policjanci z psami na smyczach, a za nimi szedł detektyw Brough. Zatrzymali się poza zasięgiem wirnika helikoptera.

170

— Niech pan się podda, panie Crane! — krzyknął detektyw. — Nie ma pan gdzie uciec!

— Naprawdę?! — odkrzyknął Simon. — Naprawdę pan w to wierzy?!

— Spokojnie, panie Crane. Proszę puścić dziewczynę.

— Nie dostaniecie mnie! Ani dziś, ani kiedykolwiek! Jestem władcą much, jestem

Belzebubem, demonem i księciem demonów!

— Poddaj się! Poddaj się i puść dziewczynę! Simon wstał z trudem, pochylił się i wziął

Kelly

pod ramiona, po czym uniósł ją, stękając z wysiłku. Wirnik helikoptera ciął powietrze

zaledwie kilka centymetrów nad ich głowami, burząc złotorude włosy dziewczyny.

— Chcesz na rączki, panienko? — spytał Simon. Ujął ją w talii i próbował podnieść jeszcze

wyżej, wprost pod obracający się z szaloną prędkością wirnik.

— Nie! — wrzasnął Ned, rzucając się na niego.

— Uważaj na głowę, chłopcze! Uważaj na głowę! — krzyknął detektyw Brough.

Ale Ned, nie zważając na nic, rzucił się na Simona i złapał go pod kolana. Simon zatoczył się

i upadł na bok, wypuszczając Kelly. Przepelził dwa lub trzy metry, po czym podniósł się

powoli i stanął chwiejnie, z zaciśniętymi pięściami i twarzą zniekształconą furją.

Kelly spojrzała na niego. Dostrzegła, że jego oczy znowu błysnęły szkarłatem, zamieniając

się w ślepie Belzebuba. Demon posiadał go tak dawno i tak całkowicie, że nie potrzebował już

inkantacji dla przejęcia władzy nad jego duszą. Simon Crane stawał się Belzebubem nie

dlatego, że demon przejmował nad nim władzę „z zewnątrz”, lecz dlatego, że tkwił w jego

duszy.

171

Włochaty stwór, w którego znów zamienił się Simon, otworzył usta i ryknął tak przeraźliwie,

że niemal zagłuszył ryk silnika helikoptera. Nie był to już chór zmieszanych głosów, lecz

raczej szczęk uderzających o siebie mieczy i zbroi, koncert wojny, śmierci, ludzkiego

cierpienia. Objawił się prawdziwy Belzebub, który zaczął od wykorzystania zachłanności

jednego człowieka przeciwko niemu samemu, by potem niszczyć całe narody.

— Przeklinam cię, Kelly! Przeklinam was wszystkich! Przeklinam wszystkich tu obecnych — mężczyzn i kobiety! Wkrótce wrócę i dokonam na was zemsty, przysięgam wam! Nigdy już nie usniecie spokojnie.

Helikopter zachwiał się nagle na zmiennym wietrze, obrócił i opadł. Rozległ się obrzydliwy trzask i głowa Simona, miotającego przed chwilą przekleństwa, wyleciała w powietrze, zatoczyła wysoki łuk i wylądowała pomiędzy drzewami.

Przez dobre pięć sekund bezgłowy Simon Crane stał wyprostowany — z wyciągniętą ręką.

Krew tryskała z jego szyi w rytm uderzeń nadal bijącego serca. A potem nogi ugięły się pod nim nagle i upadł na wznak, gwałtownie kopiąc nogami, jakby poraził go prąd elektryczny.

Kelly odwróciła się do Neda i ukryła twarz na jego piersi. Jak na jedną noc widziała zbyt wiele potworności.

Ned odwiózł ją do domu, na Waverley Road. — Chcesz wejść? — spytała go, gdy stanęli pod drzwiami.

Chłopak potrząsnął głową.

172

— Nie. Nie dziś. Innego dnia, dobrze?

— Czyżby zniechęciło cię do mnie to, co się stało?

— Sam nie wiem... Wygląda na to, że sporo muszę się jeszcze nauczyć o dziewczynach, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nie wiedziałem, że potrafią być takie silne... i takie słabe. No i chyba powinienem skoncentrować się na karierze zawodowej, zanim zacznę poważnie o nich myśleć.

Pocałowała go w policzek.

— Gdy zmienisz zdanie... wiesz, gdzie mnie szukać.

— Oczywiście — odparł, całując ją na pożegnanie. Kelly wysiadła z samochodu, zabierając

ze sobą Isabel.

— Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś — powiedziała.

— Tak naprawdę nic przecież nie zrobiłem. Nie udało mi się chronić cię, jak powinienem.

Wyciągnął rękę, by pogłaskać kotkę na pożegnanie, ale Isabel wyrwała się z objęć Kelly, pobięła ścieżką przez ogródek, usiadła na ganku i tam czekała, by ktoś wpuścił ją do domu.

— Mogłaś zaadoptować przyjaźniejsze stworzenie — mruknął Ned.

Kelly nie odpowiedziała. Zatrzęsnęła drzwiczki samochodu i pomachała na pożegnanie.

Poczekala, aż tylne czerwone światelka zniknęły za rogiem, po czym podeszła do Isabel, która miała zjeżone futerko i położone uszy.

— Co się stało, kotku? Co takiego straszego zobaczyłaś? No chodź, głuptasie.

Otworzyła drzwi i wpuściła zwierzaka na korytarz. W dużym pokoju czekał na nią ojciec, ze szklanką whisky w ręku i szerokim uśmiechem na wargach.

173

— Jak tam moja dziewczynka? Tak cudownie cię widzieć. Siadaj, proszę. Porozmawiamy sobie jak ojciec z córką, dobrze?

Następnego ranka Kelly obudziła się bardzo późno, prawie o jedenastej. Matka siedziała na łóżku obok niej. Pogłaskała ją po włosach i pocałowała w czoło.

— Jest do ciebie list — oznajmiła.

Kelly usiadła i wzięła z jej rąk małą bladoniebieską kopertę, zaadresowaną drobnymi pochyłymi literami.

Otworzyła ją i przeczytała.

Najdroższa Kelly,

gdy będziesz czytać ten list, ja będę bardzo daleko stąd. A może nie będę już żyła? Wkrótce po tym, gdy odwieźliście mnie do domu, odkryłam, że zostawiłam w piwnicy torebkę.

Chciałam pojechać do Ciebie i poprosić, abyś wpuściła mnie do salonu, żebym mogła ją odzyskać. Nagle jednak usłyszałam jakieś głosy na piętrze. Ktoś wszedł przez okno sypialni... wspiął się po pionowej ścianie.

Wiedziałam, że może to być tylko Simon Crane. Z pewnością wrócił do salonu, znalazł torebkę, a w torebce dokumenty z moim adresem, i zmienił się we włochatego stwora, by wyrzucić na mnie zemstę.

Uciekłam. Chciałam Cię ostrzec, ale nie miałam Twojego numeru telefonu, a musiałam jak najszybciej oddalić się od Rayner s Lane tak daleko, jak to tylko możliwe.

174

Wybacz, że tak strasznie Cię zawiodłam. Mam tylko nadzieję, że Bóg Cię chroni i zawsze będzie chronić przed całym złem tego świata.

Muszę już kończyć. Nie mogę podać Ci mojego adresu, bo go nie mam. Uciekam i muszę cały czas być w ruchu. Pewnego dnia Belzebub mnie dopadnie, tymczasem jednak będę walczyć ze złem i zamierzam to robić tak długo, jak długo będę żyła.

Jeszcze raz dziękuję Ci za Twoją odwagę i Twoją siłę.

Z wyrazami miłości Margaret Paleforth

Kelly spojrzała na matkę. Po jej policzkach ciekły łzy.

— O co chodzi, córeczko? — spytała matka.

Dziewczyna jednak tylko potrząsnęła głową i schowała list do koperty. Nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Po raz pierwszy w jej życiu zdarzyło się coś, czego nie mogła wyjaśnić rodzicom. Musiała uporać się z tą sprawą sama.

Ned także obudził się późnym rankiem. Przewrócił się z boku na bok i poczuł nieprzyjemne swędzenie oraz lekki ból w okolicy łokcia. Najpierw pomyślał, że to kontuzja po ataku na Simona Crane'a, ale kiedy podciągnął rękaw koszuli i przeciągnął palcami po ramieniu,

zobaczył, że wyrosło mu tam kilka włosów różnej barwy. Wydawały się ostre i sztywne.

Próbował wyrwać jeden z nich, okazało się to jednak niemożliwe.

175

Wszystko przez Kelly, pomyślał. To ona mnie zaraziła. Ona i te włosy u niej, w piwnicy salonu fryzjerskiego. Nie wolno ufać dziewczynom, a zwłaszcza tej dziewczynie — oraz temu jej zapchlonemu zwierzakowi. Postanowił odwiedzić ją wieczorem.

Musi się z nią zobaczyć. Musi dopilnować, by dostała, co się jej należy.

Polecamy powieści Grahama Mastertona

ROOK KŁY I PAZURY (ROOK II)

STRACH (ROOK III) DEMON ZIMNA (ROOK IV)

SYRENA (ROOK V)

ŚWIAT MASTERTONA

DOM SZKIELETÓW

STRAŻNICY PIEKŁA

STUDNIE PIEKIEŁ

BONNIE WINTER

ANIOŁ JESSIKI

KOSZMAR

DEMONY NORMANDII

ŚWIĘTY TERROR

SZARY DIABEŁ

SZATAŃSKIE WŁOSY

Wkrótce

CIEMNIA (ROOK VI)